

JANUSZ ROSZKO

WESTERPLATTE BRONI SIĘ JESZCZE

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Kraków 1989 r.

Grudzień 1938 - czerwiec 1939.

DWAJ OFICEROWIE

1

Sucharski przyjechał na Westerplatte jakoś w pierwszych dniach grudnia. Przywiózł go w pełnej gali mundurowej z Gdańska czarnym fordem zwalisty podpułkownik Sobociński. Po odbyciu formalności i oficjalności i po nudnym obiedzie o wczesnej porze nowy komendant kazał wezwać do siebie zastępcę, kapitana Dąbrowskiego. Dzień był pochmurny i bardzo ciemny; z północnym wiatrem przyszedł sztorm i wielkie fale głucho rozbijały się na piachu plaży. Pod niebem nawisłym ołowianymi chmurami błyskała co chwilę latarnia morska na samym cyplu półwyspu, a poprzez nagie gałęzie i pnie drzew Dąbrowski widział, jak przesuwają się kanałem portowym jakiś holownik w stronę morza. Śnieg zaczął padać dużymi mokrymi płatkami, kapitan podniósł kołnierz płaszcza, czuł, jak śnieżynki topią mu się na twarzy. Szedł z willi oficerskiej do koszar, budynku bardzo nowoczesnego, ozdobionego attyką, który stał pośrodku półwyspu, na wielkim placu. Z dość daleka widział figurki mundurowe przy bramie, spod której ruszał właśnie czarny samochód. Musiał przejechać tuż obok niego, koła zachrząściły na żwirze, szofer zwolnił. Z przodu siedział Sobociński, zza szyby pomachał mu niekonwencjonalnie ręką. Ten potężny wzrostem, impetyczny grubas pachniał "dwójką" na kilometr, ale był sympatyczny, otwarty - słowem brat lata. Żadnej pozy, żadnego zadęcia.

A jaki będzie ten nowy komendant, Sucharski? Przy obiedzie był milkliwy, jego powściągliwość w gestach i brak jakiegokolwiek mimiki tłumaczył sobie Dąbrowski skrępowaniem pierwszego dnia. No cóż - Westerplatte nie teatr, Sucharski nie aktor - powiadał sobie Dąbrowski przemierzając plac przed koszarą. Jego buty o połyskliwych

cholewach zawsze eleganckiego oficera skrzypiały na żwirze alejki, śnieg sypał coraz mocniej. Sucharski, jaki będzie ten Sucharski?

Poprzedni komendant, major Fabiszewski, został przeniesiony na stanowisko dowódcy oddziałów zamkowych prezydenta Rzeczypospolitej. Był to oficer chorowity, leczył się długo w zagranicznych uzdrowiskach, a prócz tego miał kłopoty ze wzrokiem. Życzliwi od razu skomentowali ten jego warszawski awans: przecież chodzi o to, żeby niczego na Zamku nie wypatrzył.

Dąbrowski skrzywił się na wspomnienie Fabiszewskiego:

Jego poprzedni szef był nadęty, wyraźnie manifestował swoją wyższość, przybierał nieznośną, napuszoną pozę. Po jego odejściu Dąbrowski odetchnął, ale Warszawa spieszyła się i przysłała zaraz Sucharskiego. Nie poprzedziły go żadne plotki, nawet zwyczajne w takich okolicznościach, jak ta, dzięki czyjej protekcji awansował. Tkwił ostatnio kilka lat w prowincjonalnym garnizonie na Polesiu, dowodził batalionem w 35 pułku piechoty w Brześciu nad Bugiem. Przy obiedzie z kilku zdań i gestów Sobocińskiego Dąbrowski zorientował się, że nowy komendant jest z szefem wydziału wojskowego Komisariatu Rządu w bardzo dobrej komitywie. Może to więc za sprawą Sobocińskiego ta nominacja? Nie zastanawiał się dłużej. W koszarach strzepnął śnieg z płaszcza, potem, przed wejściem do gabinetu komendanta, już na pierwszym piętrze, osuszył twarz chusteczką. Znow napalili zbyt mocno w centralnym ogrzewaniu i nawet na korytarzu panował upał.

Poprawił pas, obciągnął frencz i chusteczką ściągnął dwie krople wody z prawej cholewy. Schylając się przejrzał się prawie w wyfroterowanej posadzce jak w lustrze. Zapukał i wszedł.

Sucharski właśnie wstawał zza biurka; przez chwilę Dąbrowski sądził, że on jeszcze się nie wyprostował. Niski, mały, chudy brunecik w średnim wieku. Jeszcze mniejszy, niż wydawał się przy obiedzie. Jego czarne oczy, osadzone głęboko pod dużymi łukami brwi, patrzył z pewnym wyrazem obojętności, przy czym Dąbrowskiemu wciąż wydawało się, że to jest tylko poza. Gdy zatrzymał się pośrodku dywanu, gdy meldował się przepisowo, jeszcze myślał, że nowy komendant zrobi jakiś gest, powie "nie trzeba" i zaprosi do zajęcia miejsca w wygodnym fotelu klubowym, jednym z pięciu wokół okrągłego stołu. Nic takiego nie nastąpiło. Musiał wydudnić wszystkie formułki; po czym zapanowała chwila ciszy.

Sucharski nie ruszył się, powoli wygłaszał formułki grzecznościowe: wiele o nim słyszał i cieszy się z poznania.

Jakby z ociąganiem wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka. Zadawał krótkie rzeczowe pytania o stan wyszkolenia żołnierzy, o system alarmowy, o regulamin służby

wartowniczej. Dąbrowski przekonywał się z każdą chwilą bardziej, że ma do czynienia z oficerem, który zna doskonale swoje rzemiosło. Wkrótce przeszedł na tematy osobiste, ale nie zmieniał tonu, który nadal był chropawy i Służbowy, bez odrobiny zaangażowania.

- Niech pan sobie wyobrazi, że w 1918 roku przebywaliśmy przez pewien czas bardzo niedaleko od siebie. To zdarzyło się w Austrii. Ja byłem w szpitalu wojskowym w Styrii, a pan - o ile mnie pamięć nie myli - uczył się wtedy do szkoły realnej w Linzu? Dzieliło nas zaledwie kilkadziesiąt kilometrów, może nawet kilkanaście.

- Wszystko się zgadza - powiedział Dąbrowski. - Był trochę zaskoczony, że Sucharski zdradza mu tak szybko swoje wiadomości. Jeśli nawet przestudiował akta personalne swoich oficerów, to nie musiał się tym chwalić. Ale chciał go widocznie czymś zaskoczyć i udało się.

- Rok temu przeniesiono mnie tu z Kalisza dodał.

- Jako specjalistę od broni maszynowej, czy tak?

Sucharski miał czarne, gęste jeszcze włosy, był od Dąbrowskiego starszy o pięć, może więcej lat. Podczas rozmowy nie patrzył mu w oczy, tylko miał wzrok wbity w powierzchnię biurka. Ktoś twierdził, że należy się obawiać ludzi, którzy unikają patrzenia prosto w oczy. Może ojciec tak mówił. I właśnie Sucharski wiedział też o ojcu.

- Pański ojciec jest pułkownikiem w stanie spoczynku.

Chyba od zamachu majowego? - zapytał. Przepraszam, że poruszam tę kwestię.

- Tak, został przez Piłsudskiego zesłany na emeryturę, nie wielbił go. Mieszka teraz w Stanisławowie.

- Nie byłem w Legionach i zawsze mi to przeszkadzało. Ci z Legionów musieli być w każdej sytuacji lepsi. Nie jestem entuzjastą sanacji, o nie. I mam wiele szacunku dla takich oficerów jak pana ojciec - oświadczył Sucharski.

Wepchnął mnie w dziwną sytuację - pomyślał Dąbrowski. - Czy teraz czeka, abym wypowiedział się przeciwko sanacji, a za ojcem, czy przeciw ojcu, a za sanacją? Bąknął tylko:

- Dziękuję - i oczekiwał, co będzie dalej. Jeżeli Sucharski tak wiele wie, to na pewno zna okoliczności jego przeniesienia z Kalisza.

Oczywiście, jeżeli ojciec, pułkownik Romuald Dąbrowski herbu Jelita, przeszkodził mu w pozostaniu w Kaliszu i swoimi poza formalnymi kontaktami, jakie jeszcze mimo wszystko miał w wojsku, doprowadził do przeniesienia go na Westerplatte - to w równym stopniu tenże sam ojciec, tępony przez piłsudczyków, stał się ostatnio przyczyną jego klęski.

To znaczy tego, że nie otrzymał nominacji na majora oraz komendanta Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte, co po dwudziestu latach służby w wojsku byłoby

czymś naturalnym. Bo trudno przypuszczać, aby sama historia kaliska - w gruncie rzeczy niewinna - miała mu w czymkolwiek przeszkodzić.

Młodszy brat, też Romuald, jak ojciec, lubił sztuki plastyczne i sam malował. On natomiast pasjonował się teatrem, rozmawiał z aktorami i aktorkami, chadzał za kulisy - co wytrwale czynił w Kaliszu. Nowy dyrektor tamtejszej sceny miał wielkie artystyczne ambicje, opowiadał, jak wyobraża sobie nowoczesny teatr, i nawet się zaprzyjaźnili.

Nazywał się Iwo Gall. Na nowy sezon przygotowywał bardzo modern zrobionych "Krakowiaków i górali" Bogusławskiego.

Niestety widzowie nie chcieli chodzić do teatru i oczekiwali widowisk na poziomie miernym i głupawym, byle "do śmichu".

Aktorzy grywali z uporem, nawet jeśli na widowni było tylko sześć osób, co raz się zdarzyło. Kapitan wytrwale zapraszał na kolacje i potem na obiady pewną aktorkę, miłą brunetkę, Antoninę S., z czego wynikł bardzo poważny romans i już-już byłby porzucił stan starokawalerski. Zwierzył się niebacznie rodzicom, pewny ich zgody, jako że jego matka była córką tenora opery budapesztańskiej i sama próbowała w młodości swoich sił na scenie... A tu nagle rodzice wpadli w histerię, że mezalians. Usiłowali dowiedzieć się czegoś o pannie i przedstawić ją w jak najgorszym świetle. Teatr zresztą chylił się ku upadkowi, dyrektor Gall umknął chyłkiem, ale aktorów opłacił. Panna Antonina też wyjechała w niewiadomym kierunku, bez pożegnania, po scenach na temat swej przyszłości, niezupełnie udowodnionej. A jego samego w szybkim trybie przeniesiono na Westerplatte, utrwalając niejako w stanie kawalerskim. Wymogiem służby był tutaj... stan bezżenny.

- Wie pan, kapitanie, nie jestem najtęższego zdrowia i pewnie dlatego przenieśli mnie nad morze. Ale widzę, że nie będę miał tutaj wyczasów... - powiedział Sucharski. I stuknął ręką w biurko, na którym leżał rozłożony plan Westerplatte. - Chciałbym, aby mi pan coś powiedział o urządzeniach obronnych, zanim pójdziemy, aby je obejrzyć w terenie...

- Jak będzie lepsza pogoda? - spytał Dąbrowski.

- Nie, zaraz. Służba jest niezależna od pogody - powiedział twardo.

Mały, czarniawy i przygaszony. Z kompleksami wzrostu zapewne, raczej milkliwy. Czy rzeczywiście jest przeciwnikiem sanacji, jakim się deklaruje? Nie struga wielkiego pana oficera jak Fabiszewski, który przy pierwszym spotkaniu powiedział mu: "W zależności od swoich starań może pan nawet wyczarować uśmiech na mojej twarzy". Zresztą Fabiszewskiego przeważnie nie było na miejscu, mieszkał w Gdańsku.

W czasie sztormowej pogody obeszli wszystkie wartownie, stojące pierścieniem wokół koszar, nie wchodząc do ich podziemnych komór, które na razie stanowiły dla

żołnierzy tajemnicę. Obejrzeni wielkie betonowe ściany fortu sprzed pierwszej wojny światowej, przedpole bramy kolejowej i stację; elektrownię zostawili na później wraz z basenem amunicyjnym.

Wieczorem postanowił porozmawiać już jakby półprywatnie, jako że mieszkali w tej samej willi, obok siebie, i skazywał ich na wzajemne towarzystwo. Gdy rozmawiali, u kogo, Dąbrowski podsunął, że u niego, bo on jest już zagospodarowany, i Sucharski bez fumów się zgodził.

„Przynajmniej normalny człowiek. Służbista, ale bez much w nosie” - powiedział sobie kapitan.

Major usiadł u niego w fotelu, palił papierosa i pochwalił obraz, na którym ułan kłusował na koniu.

- Bardzo dobry, ale nie Kossak?

- Nie, konie maluje mój młodszy brat, służy w kawalerii.

- Bardzo lubię konie - oświadczył major, a Dąbrowski nie wiedział, czy na obrazku, czy w naturze.

Opowiadali sobie do późna wspomnienia ze służby, sączyli jarzębiak, przy czym na podstawie skąpych, ale trafnych komentarzy i uwag Dąbrowski stwierdził, że Sucharski jest człowiekiem o szerszym horyzoncie myślowym, ma bardzo twarde i bezwzględne zasady żołnierskie, a prawdopodobnie w istocie nie lubi sanacji. Wydało mu się, że atmosfera koleżeńskiej współpracy ułoży się przyjemnie i na innej stopie niż z nadętym Fabiszewskim.

Gdy zastanowił się potem, to mówili głównie o jego służbie, mniej o Sucharskiego. Dąbrowski pił jarzębiak małymi łyżkami, major po kieliszku, ale w sumie oszczędnie i mało, bronił się przed nalewaniem zbyt częstym, czynił to ruchem zdecydowanym, odwracając kieliszek do góry dnem. W końcu doszło do tego, do czego dojść powinno, czyli do przepicia bruderszaftu. Kapitan powiedział:

- Mnie wołają Kuba.

I major wówczas zapytał, dlaczego, bo Sobociński też opowiadał o nim jako o Kubie, a przecież ma na imię Franciszek. Musiał więc opowiedzieć, jak to przybył na Westerplatte przed rokiem. Fabiszewskiego nie było wtedy na miejscu, sam więc spacerował po całym kurorcie, bo takowym z tą całą architekturą w stylu pseudoszwajcarskim i pruskimi murami, werandami itp. wydało mu się Westerplatte, w końcu poszedł do kasyna. Zamówił jarzębiak, bywalcy wytłumaczyli mu, że komendant jest bardzo ustosunkowany w Warszawie, naplotkowali o realiach codziennych. A on pił małymi łyżkami ulubiony trunek, i ktoś powiedział: ”o, popatrz, pije wódkę jak kanarek. Po kropelce!” Ktoś inny dodał: ”Jak Kubuś”

- i tak nieodwołalnie przyłgnęło do niego miano Kubusia. Bywało ono przez żołnierzy wymawiane raczej sympatycznie, tak sądził.

Opowiedział też majorowi, że urodził się w Budapeszcie i jego matka była Węgierką, więc jako mały chłopiec mówił tylko po węgiersku. Ojciec przebywał ciągle w służbie i nie miał dla niego czasu. Potem poszedł do szkoły w Austrii i musiał nauczyć się po niemiecku. Od ojca poznał kilka polskich wyrazów i nabrał świadomości, że jest Polakiem. To zakiełkowało: gdy przybyli do Krakowa, uciekł do polskiego wojska, chociaż po polsku mówił fatalnie. Skierowali go do Korpusu Kadetów, ale protestował, bo marzeniem jego było bić się na froncie. Zawsze upatrywał w tym zakulisowych działań ojca, i może nawet miał rację. W 1921 roku zdał maturę w lwowskim Korpusie Kadetów i skierowano go do podchorążówki, na co matka musiała podpisać zgodę. Mieszkała wtedy w Bochni, a ojciec przebywał gdzieś w dalekim garnizonie...

I tak Kuba wrósł w wojsko. Dwadzieścia lat mija od czasu, gdy zgłosił się na ochotnika.

- A ja pochodzę z Gręboszowa. To taka mała wieś, leży w miejscu, gdzie Dunajec wpada do Wisły, najogólniej biorąc koło Tarnowa.

Dąbrowski nie powiedział nic, bo nie znał dobrze tamtych stron. Po kilku kieliszkach wyostrzyły się pewne cechy wymowy majora i można było z wszelką pewnością powiedzieć, że pochodzi ze wsi. Przeciągał nadmiernie środkowe samogłoski. Wódka zresztą wcale nie rozwiązała mu języka.

Kuba zdołał się tylko zorientować, że Sucharski trochę czuje się tą nominacją wykiwany.

Toteż złączyła ich pewna solidarność na tym tle, jako że obaj - starzy kawalerowie - wylądowali na bocznym torze Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte, która od dawna nie była już żadną składnicą. Wielkie magazyny amunicyjne wzdłuż torów kolejowych stały zupełnie puste, a polska załoga trwała tu, aby strzec praw Rzeczypospolitej do Wolnego Miasta Gdańska. Nic więcej.

Podczas tego starokawalerskiego wieczoru Kuba wyczuł, że jego historii teatralnej z Kalisza Sucharski nie zna, ale także wiedział już i to, że nigdy nie znajdzie się z nim na takiej stopie, aby mu ją opowiedzieć.

2

Święta Bożego Narodzenia spędzili obaj na Westerplatte.

Tajny rozkaz z Komisarjatu Rządu w Gdańsku wstrzymał urlopy oficerom, a podpułkownik Sobociński zaprosił ich na wigilijny wieczór do siebie do Gdańska.

- Nie wiesz, czemu nas tu zatrzymali? - pytał Dąbrowski.

- Nie mam pojęcia - odparł obojętnie major, choć wiedział od Sobocińskiego, że w tym właśnie okresie ma przybyć do Gdańska minister Beck. Sam w istocie nie bardzo rozumiał, dlaczego z tego powodu oficerowie mają pozostawać na Westerplatte przez całe święta.

Gdy przed odjazdem do Gdańska oczekiwali na samochód w jadalni willi oficerskiej, na stole leżała właśnie "Gazeta Polska" z nową mapką Europy Środkowej po zajęciu przez Niemcy, Czech i utworzeniu pseudoniepodległej Słowacji.

Dąbrowski przyglądał jej się z zainteresowaniem i powiedział:

- Popatrz, co nam grozi!

I nad mapą wykonał palcami obu rąk ruch od Słowacji i Prus Wschodnich biorący Polskę jakby w kleszcze. Major się lekko skrzywił. Właśnie podjechało auto i nie miał zamiaru przekonywać młodszego kolegi, że jednak należało wziąć Zaolzie. Dopiero gdzieś pod Gdańskiem odezwał się do Kuby:

- Ja walczyłem na froncie cieszyńskim w 1919 roku. Wtedy nie odzyskaliśmy Zaolzia.

Dąbrowski policzył więc sprawę na karb osobistych kompleksów majora i nie chciał jej na nowo podejmować.

Na dworze padał śnieg. W mieszkaniu u Sobocińskich pachniało choinką i prawdziwym sianem, co major zaraz wyczuł.

- Aaaa, masz nosa! - pochwalił Sobociński. - Pod obrusem.

Żona zdobyła, przywieźli jej aż z Żuław.

Gdy tradycyjnie łamali się opłatkiem, pani Sobocińska życzyła Dąbrowskiemu jak najlepszych wyników w służbie, awansów i orderów.

- Panie Kubo... Ale jak pan właściwie ma na imię, jak pana wołali w domu?

- Mama do dzisiaj woła na mnie Feri... - wyznał w przyływie szczerości.

- Feri? Ładne, ale dlaczego?

- Feri to od węgierskiego Ferenc, czyli Franciszek. A moja mama jest Węgierką.

Major znowu się skrzywił na to "Feri", uczynił to w sposób widoczny, i Dąbrowski żałował chwili wigilijnej otwartości. Barszcz wigilijny z uszkami nie był najlepszy, ale należało chwalić talenty gospodyni, zwłaszcza że była ładna i pociągająca. Noga trochę za gruba w kostce, ale gdyby była cieńsza, to zburzyłoby proporcje całej sylwetki, gdyż pani Alicja miała dość korpulentne kształty. Po kielichu dobrego węgierskiego wina atmosfera

zrobiła się już bardziej familijna, do Dąbrowskiego zaczęto mówić „Feri”, zwłaszcza pani Ala, błyskająca czarnym roziskrzonym okiem.

- Niech oni sobie tam gadają o służbie, to nudne.

Henryk był na przeszkoleniu u mego męża w jego referacie, mogą godzinami dyskutować na temat Niemiec, a ja tego tematu mam dość.

Sucharski znów skrzywił się, że mówi się tak oficjalnie o jego przeszkoleniu w Oddziale II, uważał, że nawet tutaj nie powinno się o „dwójce” głośno wspominać. Kuba istotnie jakby trochę nabrał dystansu do swego dowódcy. Jeżeli jest w „dwójce”, to lepiej z nim uważać.

Pani Ala natomiast chciała jak najwięcej wiedzieć o tym, czy Kuba ma narzeczoną i gdzie. I czy miał. I mówiła to wszystko takim tonem i tak kokieteryjnie, jakby miała ochotę na to stanowisko, mimo że była już żoną Sobocińskiego. Pod koniec śpiewali kolędy i okazało się, że major ma bardzo ładny baryton i miło się go słucha.

Wrócili na Westerplatte około północy. Major zaproponował krótki spacer. Pod butami skrzypiał śnieg, wszędzie go było pełno, sięgał powyżej kostek na ścieżkach, wyżej na trawnikach, białe kopiate czapy wieńczyły dachy willi i Westerplatte wyglądało jak bajkowy pejzaż z pocztówki świątecznej. Świeciły jeszcze tu i ówdzie okienka i kładły żółte, ciepłe smugi na białej połaci placu przed koszarami. Było przyjemnie, ale majorowi nie chodziło tylko o wrażenia estetyczne.

- Chciałbym, żebyś zrozumiał, że skierowano mnie na przeszkolenie do referatu „Niemcy” w „dwójce”, abym się orientował w sprawach niemieckich przed objęciem placówki.

Chciałbym, abyś ty nie uważał mnie za pracownika kadrowego „dwójki” - powiedział w pewnym momencie jakby mimochodem.

Potem Kuba dowiedział się od pani Ali przypadkiem, że ten kurs miał miejsce dwa i pół roku przed przybyciem majora na Westerplatte, a więc z tą nominacją nie mógł mieć nic wspólnego. I to bardziej usztywniło go względem majora.

19 stycznia przypadały imieniny Sucharskiego i Kuba zadbał, aby załoga Westerplatte godnie uczciła ten dzień.

Chóralne „Sto lat” zabrzmiało pod willą oficerską, wyniesiono majora na ramionach co bardziej krzepkich podoficerów, ktoś wołał schrypłym basem: „Tylko go nie upuśćcie”! Dzień był jak na styczeń wyjątkowo ciepły i bezśnieżny, choć pochmurny. Major zapowiedział, że postawi wieczorem coś pod śledzika, ale że teraz służba nie drużba, i że dziękuje.

Po obiedzie w domu Dąbrowski otworzył radio, nadawano właśnie koncert życzeń, i zaskoczony wysłuchał takich oto słów:

„Uwaga, Gdańsk-Westerplatte, major Henryk Sucharski.

Wiązanekę najserdeczniejszych życzeń w dniu imienin wraz z ulubionym marszem węgierskim Rakoczego śle aż do szmaragdowych fal polskiego morza Twoje maleńkie Kurczątko.”

Uśmieł się szczerze. Święty stary kawaler, który przywiózł na Westerplatte siedem książeczek do nabożeństwa, Kuba sam je widział, ma gdzieś maleńkie Kurczątko, i to Kurczątko samo go zdemaskowało! Słuchał z przyjemnością marsza Rakoczego - także lubił tę melodię, bo czuł, że odzywa się w nim wówczas węgierska krew, i zastanawiał się, czemuż to właśnie major ją sobie upodobał.

Po zakropionej imieninowej kolacji, gdy rozchodzili się od stołu, zagadnął:

- Słyszałem, że lubisz szczególnie marsza Rakoczego...

Sucharski był wyraźnie zaskoczony, nie wiedział w pierwszej chwili, jak zareagować, ale potwierdził:

- Tak, lubię.

- Tylko że nie nazywa się go ”marszem węgierskim Rakoczego”, bo to nie Rakoczy jest jego autorem, tylko „marszem Rakoczego”, bo wódz powstania węgierskiego uwielbiał tę anonimową zresztą melodię.

- Dlaczego tak szczegółowo to objaśniasz? - major był zdezorientowany.

- Aha, więc nic nie wiesz. W radio wysłuchałem życzeń imieninowych dla ciebie. Właśnie tam powiedziano, że ”marsza węgierskiego Rakoczego” śle majorowi Sucharskiemu nad polskie morze jakaś panna. Wysłuchałem więc marsza z przyjemnością.

Major nie odezwał się. Dopiero po chwili stwierdził:

- Jeżeli melodia tego marsza jest anonimowa... Tak, to masz bezsprzecznie rację, Kuba.

I poszedł do siebie do mieszkania.

Kuba wyraźnie zawiedziony pozostał w kasynie i zamówił u Lemkego mały jarzębiaczek. Lemke, który w bufecie słuchał radia bez przerwy, mrugnął do Kuby:

- Słyszał pan, kapitanie, że major lubi drób?! - po czym bufetowy położył palec na ustach.

Wkrótce Dąbrowski zorientował się, że życzenia dla Sucharskiego zostały usłyszane przez więcej osób. I ci też sobie żartowali. No, dało szkołę to Kurczątko, nie ma co mówić.

Zdziwił się, gdy po zastanowieniu doszedł do wniosku, że jest mu majora jakby trochę żal.

3

W marcu na Westerplatte zapanował ruch, jakby przypomniano sobie, że niegdysiejszy gdański kurort musi przygotować się po zimie do sezonu. Wojskowa Składnica Tranzytowa nie miała stałej załogi, co pół roku zmieniano tu żołnierzy i podoficerów. Oczekiwano wkrótce przybycia nowej, wielkiej grupy od pułkownika Berlinga z Kielc, z II Dywizji Piechoty Legionów. Żołnierze, którzy odsłużyli na półwyspie szary czas jesieni i mroźny zimy, żalowali, że nie czeka ich już zielona wiosna i upalne lato na plaży nadmorskiej.

Odjeżdżali gdzieś do Nowowilejki, Mołodeczna czy Lidy, bo tam stacjonowały ich macierzyste jednostki.

Dąbrowski dzięki swej komitywie z załogą wynalazł kilku, których obserwował na strzelnicy podczas Ćwiczeń, i tych namawiał, aby pozostali tu dłużej. Żołnierzy, którzy bez zastanowienia trafiali z ręki w tarczę, przesywali sylwetki z tektury na wysokości serca, bezbłędnie zapamiętywał, bo tacy mu byli potrzebni. Pertraktował z nimi, a że byli to ludzie, którym Westerplatte podobało się - zdecydowali się zostać na następne pół roku. Dąbrowski ułożył więc listę i czekał. Wreszcie major poprosił go specjalnie i zadał pytanie:

- Kogo chciałbyś zostawić?

Dąbrowski zapadł się w klubowym fotelu głęboko i sylwetka jego, wysoka i szczapowata, zatraciła ostry kontur.

- Plutonowy Buder... - zawiesił głos. Sumienny i dokładny, łysy i pobożny. Służył zawsze do mszy kapelanowi Bemke, każdej niedzieli łysiną podświetlając ołtarz w kaplicy - jak podśmiewał się Petzelt.

- Buder, słusznie - aprobował major.

- Dalej Szamlewski, Ziemia, Wrzaszcz, Cichowski, Wolas, Dominiak, Kałuski, Maca i Petzelt. Ot i wszyscy.

- Petzelt? Znowu był w strefie wolnocłowej. Przywłókł wór mandarynek i szczypał dziwki portowe. Zdaje się, że z Szamlewskim do spółki...

- Masz dobre informacje. A twój mat Rygielski w tejże strefie pobił Szwaba, dał się aresztować i jeszcze znaleźli mu w kieszeni pistolet. Same kłopoty.

- Dlaczego mówisz "mój Rygielski"? - zaprotestował z uśmiechem major. - Taki sam mój jak i twój. Zgadzam się na Petzelta, poza wszystkim to znakomity żołnierz, a na dodatek zażarty wróg gry w karty... Choćby dlatego należy go zostawić.

Major potrafił być uszczypliwy całkiem zniechęca. Kuba przytyk do kart pochwycił, zwłaszcza że grywali w jadalni willi oficerskiej czasami do późna w noc, wtedy gdy przyjeżdżał Sobociński z żoną, namiętą bridżystką. Major sporadycznie im kibicował, nie grywał i nie lubił kart.

Mistrzostwo wykazywał w tej dyscyplinie inżynier Grodecki, szef westerplackiej elektrowni, porucznik pilot rezerwy, o którym powiadano, że w tajemnicy konstruuje jakąś maszynę, co ma wysadzić w powietrze nie tylko cały Gdańsk, ale zdaje się w ogóle III Rzeszę. Studiował na Politechnice Gdańskiej, pracował w elektrowni Wolnego Miasta, studiów jakoś nie udało mu się ukończyć i Kuba czasami, mimo całej sympatii dla tego milczącego technokraty, mówił o nim do majora: "ten nasz niedokończony inżynierek". Inżynierek pracował już tu od czterech lat.

17 marca zapanował ruch i ożywienie niezwykle, bo przybył transport z Kielc, a pierwsza grupa "starych" gotowała się do odjazdu. Na czele trzydziestu dwóch kielczan meldował się bardzo sprężysto porucznik Leon Pajak, co spodobało się majorowi. Dąbrowski, gdy tylko z holownika wysiedli na ląd, zapytał porucznika:

- A gra pan w bridża? Jak się ten cyrk skończy, to wypić musimy brudzia!

Porucznik nie grał, ale obiecał się nauczyć.

Zakwaterowano go w koszarach, a nie w willi oficerskiej, gdyż oficjalnie na Westerplatte wolno było przebywać tylko dwóm oficerom. Etat porucznika Pajaka należał do Komisariatu Generalnego, z zezwoleniem na kwaterowanie na Westerplatte.

Wszystkie plany nauki bridża i picia bruderszaftu z porucznikiem Pajakiem pokrzyżował nagły alarm. W dniu 24 marca wieczorem koszary z zewnątrz wydawały się wymarłe.

Dąbrowski w hełmie mocno spiętym pod brodą biegał wkoło budynku i sprawdzał zaciemnienie okien, które wydawało mu się jednak niedokładne. Załoga klęła w przekonaniu, że oto urządza się na szeroka skalę zakrojone ćwiczenia, choć służba na Westerplatte jest i tak psia i klasztorna. Starzy, którzy jeszcze pozostali, nie omieszkali tej informacji przekazać nowym. Natomiast ostre pogotowie w sytuacji, gdy przybyła część nowej załogi, a pozostały jeszcze resztki starej, wymagało od oficerów i podoficerów wzmożonej pracy.

Groził chaos.

Tymczasem alarm był prawdziwy.

Major na luźnej kartce, włożonej do podręcznego kalendarzyka, zapisał rozkaz z dnia 25 marca 1939:

„Godzina 10.15-10.30. Możliwość niezapowiedzianej wizyty okrętów wojennych niemieckich w Gdańsku, wzmocnić obserwację, w razie zbliżania się lub wchodzenia meldować.”

Sam razem z Kubą wpatrywał się w wody zatoki, ale na dalekim horyzoncie nie widać było żadnego konwoju ani szyku okrętów wojennych. Niemcy zajęli właśnie Kłajpedę, sam Hitler z pokładu pancernika "Deutschland" obserwował tam wysadzenie desantu. Teraz obawiano się, aby losu Kłajpedy nie podzielił Gdańsk. Czy Westerplatte w razie czego powinno stawić czoło wielkiej niemieckiej flocie?

Zdecydowano więc, że tajemnice wartowni trzeba ujawnić większej części załogi. Odkręcano włazy i ludzie opuszczali się do piwnic, gdzie w okienkach tkwiły podstawy forteczne dla ciężkich karabinów maszynowych, a nadpiłowane kraty przygotowane były do wyłamania. Na razie w miejscu tych okienek wisiały niewinne obrazki. W wartowni numer dwa jedno okienko przysłała "Bitwa pod Raławicami", a drugie portret Kilińskiego. Nikt nie przypuszczał, że już wkrótce przez te okna zobaczą bitwę o Westerplatte. Na razie cieszyli się, że nie są tak bezbronni, jak dotąd sądzili; choć niektórzy podejrzewali, że coś w tych podziemiach się kryje, bowiem nazbyt często wypraszano ich z wartowni, gdy wchodził tam inżynier Grodecki i jego ludzie.

Ostre pogotowie odwołano wkrótce! ale nie tak zupełnie.

Od tego czasu notował się na Westerplatte stan wzmożonej czujności, tym bardziej że w kilka dni później nowy transport z Kielc pod komendą chorążego Gryczmana dotarł do Gdyni. W trzech rzutach przetransportowano ich holownikami na Westerplatte. Załogę mieli więc nową - należało ją zapoznać z wartowniami, podziemiami, szkolić. Gdy wszyscy już przybyli na miejsce, podpułkownik Sobociński przywiózł nawet samego Komisarza Rzeczypospolitej w Gdańsku, ministra Chodackiego. Odebrał on raport od komendanta, Sucharski był autentycznie przejęty, i Kuba zauważył, że zależy mu, aby wszystko wypadło jak najlepiej. Minister podczas kolacji w gronie oficerów w tonie konferansjera z "Morskiego Oka" czy „Qui pro Quo” poinformował, że "Adolfek jest już z powrotem w Berlinie, jak nam donoszą depeze z Warszawy". Kuba wyobrażał sobie, że może tak o tym śpiewać Faliszewski albo Sempoliński, ale nie powinien mówić minister.

Dąbrowski nie miał wolnej godziny, przez cały kwiecień czuwał nad szkoleniem załogi, i Sobociński często mówił, że należy mu się za to medal. Wypisał zresztą wkrótce wniosek o Srebrny Krzyż Zasługi, w którym wynosił pod niebiosa talenty Dąbrowskiego jako

szkoleniowca. Istotnie, gdy Kuba wracał ze szkolenia na strzelnicy, padał z nóg i nie myślał o Bożym świecie. Z majorem rozmawiali bez przerwy o karabinach maszynowych i wyjątkowych talentach tych nowych żołnierzy, z których genialnym strzelcem cekaemu okazał się plutonowy Baran. W pewnym momencie jednak Sucharski zreflektował się:

- A przecież my nie mamy ani jednej armaty!

Zaczął przez Sobocińskiego tak mocno naciskać, że z Gdyni przysłano im, a raczej przemycono w trybie natychmiastowym, rozebraną na części carską jeszcze armatę, kaliber siedemdziesiąt pięć. Puszczarz przybyły z Marynarki Wojennej, który ją składał, był trochę zasmucony:

- Panie kapitanie, ona była rozkalibrowana i teraz na nowo ma robioną lufę. Ja bym wolał ją przestrzelać na próbę...

Było to niemożliwe, gdyż należało zachować ścisłą tajemnicę.

- Carskie działo? - dziwił się Dąbrowski. - I rozkalibrowane? A po cóż oni taką Lafiryndę Nikołajewnę, rozkalibrowaną sierotkę, nam tu przysłali? Nie mają w całej Gdyni jednego porządnego działa?!

- Jak mają, to mają dla siebie - odpowiedział rezolutnie puszczarz.

Dostali więc armatę, ale jakoś nie pomyślano o tym, kto ma z niej strzelać.

- Henryku - apelował Kuba - zwróć uwagę Sobocińskiemu, że nie mamy artylerzystów. Niech przyślą obsługę do działa.

Sucharski zaskoczył go:

- Telefonowałem, gdy tylko przyszła ta, jak powiadasz, Lafirynda. Sobociński obiecał załatwić.

Minął kwiecień, koszary i wille na Westerplatte skryły się pod bujną kopułą zieloności, a oni trwali od czasu tej Kłajpedy w jakimś półostrym pogotowiu. Oficerowie i podoficerowie zawodowi nie mieli prawa opuszczać terenu, żadnych urlopów. Kuba wprawdzie bardzo chętnie w grudniu - gdy go zatrzymano - uniknął słuchania rodzinnych morałów w Stanisławowie, ale teraz już zatęsknił za drogą mamą i jej „Mon cheri Feri”. Francuski, węgierski, niemiecki, dyskusje o książkach i literaturze, atmosfera domu ojcowskiego przytulnego od masy huculskich kilimów i zapobiegliwości matki - to było to, za czym teraz tęsknił bardziej niż za panną Antoniną S., aktorką bez dyplomu, uwięzioną z Kalisza w niewiadomym bliżej kierunku. Częste przyjazdy państwa Sobocińskich, wspólne bridże i natarczywe okrzyki „Drogi Feri”, wydawane przez panią Alicję, były mu coraz miłsze. Na tym półwyspie, gdzie „nie masz niewiast w naszej chacie” - wydała mu się kobietą nawet bardzo atrakcyjną. O dziesięć lat młodszy od Sobocińskiego i o dwadzieścia

kilogramów chudszy, wyczuwał swoje szanse, ale ciągle bał się instytucji, którą pan mąż reprezentował. Każdy oficer, mający trochę oleju w głowie, bał się "dwójki". I to zdaje się po introdukcji wiosennej zapobiegło romansowej historii na Westerplatte.

4

Po zajęciu Kłajpedy naszła ich także refleksja innej natury: czy byli tu, na Westerplatte, dostatecznie przygotowani na odparcie desantu z morza? Na rozważania te nie było czasu w codziennym młynie spraw składnicy, ale gdy wieczorem zasiadali w willi oficerskiej - coraz częściej powracał właśnie ten temat. Jak odeprzeć atak, gdy na nich napadną?

- Od strony morza - powiadał Kuba - nie mamy dostatecznego zabezpieczenia. Wartownie IV i V stoją za torem kolejowym i nie trzymają pod ostrzałem plaży... Z „czwórki” w stronę plaży częściowo zasłania widok las. Z „piątki” znów magazyny amunicyjne...

- Może jakieś placówki polowe wystawić? - zastanawiał się głośno Sucharski. - Albo obsadzić ten betonowy fort sprzed wojny...

Z tych rozważań narodził się plan budowy placówek w terenie, umocnień ziemnych, które zabezpieczyłyby ich z każdej strony. Zwrócili uwagę szczególną na kierunek od wschodu - jedyne połączenie Westerplatte stałym lądem. Czy zdecydują się wpuścić nieprzyjaciela dopiero pod ostrzał wartowni, czy jest sens oddać taki kawał ziemi bez walki?

- Nie. Uważam, że gdzieś na wysokości promu trzeba zbudować okopy. I co noc niech czuwają tam chłopcy jak na wartowniach - proponował Kuba.

Prócz tego uznali, że trzeba dobrze ubezpieczyć zachodni kraniec półwyspu, nad samym kanałem, przed ewentualnym desantem z tamtej strony. Tak narodziły się dwie duże placówki, które nazwali umownie "Prom", a drugą "Przystań", bo posadowić ją chcieli na pagórku niedaleko przystani kajakowej. Wszelkie roboty trzeba było wykonywać tak, aby nie spostrzegli ich Niemcy, którzy penetrowali teren półwyspu i podejrzliwie patrzyli na wszystko, cokolwiek się za czerwonym murem dzieje. Wysyłali nawet od czasu do czasu awionetkę, kontrolującą ich i wykonującą zdjęcia terenu - czy przypadkiem nie ma tam czegoś nowego?

Z pierwszymi ciepłymi podmuchami maja zaczęły się roboty ziemne przy budowie okopów na placówkach. Gdy tylko zapadał mrok, żołnierze brali za łopaty i kilofy. Dąbrowski, który teraz w skupieniu wykreślał pola ostrzału z okienek poszczególnych

wartowni, doszedł do wniosku, że widoczność zasłania zbyt wiele drzew i gałęzi. Jedne ekipy musiały więc po ciemku kopać, a inne piłowały, wspinając się po drzewach.

- Las pełen duchów - śmiał się Dąbrowski.

- Nocny tartak - podpowiadał Sucharski.

- Jesteśmy dyrektorami nocnego tartaku w Gdańsku - wymyślał Kuba, gdy nocą wraz z majorem przemierzali teren, aby żołnierze wiedzieli, że dowódcy czuwają. Że ktoś pilnuje po gospodarstwu tego nocnego kopania rowów i piłowania gałęzi. Aby było ciszej, żołnierze kładli płachtę na piłę, a do wbijania gwoździ używali młotka oklejonego filcem. O świetle prace przerywano i maskowano gałęziami, a nawet kawałami darni.

W trakcie prac doszli obaj z Sucharskim do wniosku, że załoga jest zbyt szczupła na pełne obsadzenie placówek i wartowni, więc zaczęli wymyślać sposób na obejście traktatów. Obsada Westerplatte była wyraźnie określona przez Ligę Narodów: dwóch oficerów i osiemdziesięciu żołnierzy i podoficerów. Już i tak stworzyli trzeci etat oficerski: niby należący do Komisariatu Rządu w Gdańsku. Następny stały etat przyznano im dla lekarza. Ale jak realnie wzmocnić skład osobowy załogi? Już i tak wiele stanowisk obsadzili pracownikami cywilnymi, zamieszkałymi w Gdańsku. Przyjmowano ich do pracy pod jednym warunkiem, iż byli oni podoficerami zawodowymi, w każdej chwili gotowymi do ubrania munduru i chwycenia za broń.

- Ilu mamy cywilnych? Dwudziestu? - zastanawiał się kiedyś głośno Dąbrowski.

- Jak myślisz, powiększyć liczbę cywilnych? - pytał Sucharski.

- To swoją drogą można by. Ale mam inny pomysł. Co niedzielę holownik zabiera żołnierzy na przepustkę do Gdyni.

Potem wraca - tego samego dnia. Dzieje się tak od dawien dawna i Niemcy są do tego przyzwyczajeni.

Pomysł Dąbrowskiego polegał na tym, że cywilni nie będą jechać do domu tramwajem z Nowego Portu, ale holownikiem przez Gdynię i to przebrani w mundury. Natomiast wrócą w cywilu tramwajem, podczas gdy holownikiem w mundurach przybędą nowi żołnierze z kraju. Oczywiście trzeba było zapoznać z tym planem Sobocińskiego i wyłożyć mu to osobiście. Musieli sprecyzować projekt na piśmie i przesłać do Warszawy, a kalki spalił zgodnie z regulaminem pisarz tajnej kancelarii, Zdunkiewicz. Po tygodniu, czy trochę później, przyszła odpowiedź z Warszawy na ich propozycję.

Zgadniają się na tę maskaradę, ale z zastrzeżeniem. Dokonają pierwszej próby, dwudziestu żołnierzy przyślą im z 2 batalionu morskogo z Redłowa. Potem - gdy Niemcy się nie zorientują - pójdą większe przerzuty, gdyż planowali powiększyć załogę o sto, a nawet

więcej osób. Pierwszy termin wyznaczono w Boże Ciało, 8 czerwca; wszystko odbyło się bez problemów. Cywilni ubrani w mundury, z czapkami o daszkach nasuniętych głęboko na czoło, wsiadali na pokład holownika, a gdański policjant odliczał ich jak zwykle, aby liczba zgadzała się przy powrocie.

Wraz z upałami, które przyszły w czerwcu, częstym gościem stał się Sobociński z żoną. Plaża Westerplatte miała to do siebie, że była osobna i pusta na ogół, można było znaleźć sobie dowolne miejsce i opalać się, co pani podpułkownikowa - w wieku nie więcej niż trzydzieści lat, czyli prawie już balzakowskim, ale jeszcze niezupełnie - czyniła namiętnie, prezentując się w kostiumie załozde i panom oficerom. Sucharski już od dawna zauważył, że wysoki i przystojny, szczupły i zgrabny Kuba zrobił na niej wrażenie.

Ale wypowiedział tylko jedną uwagę, jakby zaznaczając, że odkrył jakiś fragment jego, kapitana Kuby, wewnętrznej tajemnicy:

- Wicek Sobociński jest bardzo zazdrosny o żonę. Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia.

Nie było to w pełni prawdziwe, ale wołał przyhamować sentymenty Kuby, aby nie wybujały zbyt i nadspodziewanie, co mogłoby skomplikować stosunki między Westerplatte a Komisariatem Rządu.

Pod koniec czerwca Kuba wydarł od Józusia Kity, ordynansa majora, pewną tajemnicę, której posiadaniem sam niezwykle się stropił. Józus wiozł do Gdyni dużą paczkę do nadania na pocztę. Paczka była bardzo lekka, a Józus nią beztrąsko wymachiwał.

- Taka lekka paczka? Puste pudło pewnie? - zagadnął Kuba.

- Skądże. Pełna, ale nie całkiem.

- Co tam nadajesz majorowi?

- Nie wolno mi powiedzieć.

Stając na baczność przed kapitanem Józus wypuścił paczkę z rąk, a podnosząc skomentował:

- Jeszcze się teraz połamię, cholerny świat. Bo to jest, panie kapitanie - nachylił się konfidencko - bukiet róż dla narzeczonej.

- Zeschną przecież!

- Eeee tam. Te róże są już zaszuszone!

Józus Kita był przerażony tym, że wypaplał, i teraz chciał się koniecznie upewnić, że Kuba go nie wyda.

- Panie kapitanie, ale pan kapitan o niczym nie wie. Ja nic nie mówiłem.

- Nic nie wiem, Józus. Słowo!

Istotnie, nie wiedział jednego: co myśleć o swoim komendancie majorze Sucharskim. Jego osobowość okazała się jeszcze bardziej skomplikowana, niż dotąd o tym myślał.

Zasuszone róże dla narzeczonej? Ależ tego nie wymyślił żaden autor dramatyczny. Podpowie Iwo Gallowi, żeby namówił jakiegoś dramatopisarza... Oczywiście dopiero po wojnie.

I sam się stropił, że w jego myślach wojna występuje jako coś tak bliskiego i nieuchronnego, bowiem dotąd też nie zdawał sobie z tego w pełni sprawy.

Lipiec 1939.

CZOŁEM ZAŁOGA ŚMIERCI!

1

Lato było upalne, tylko rankiem pod starymi drzewami półwyspu znaleźć można było trochę chłodu, a zabłąkany wiatr przynosił zapach dalekich północnych mórz i zaraz ustawał.

Czasem strącił z liści kilka kropel, które utrzymywały się od nocnego deszczu; deszcze teraz padały w nocy, a w dzień znów zaczynał się upał.

Józus Kita, ordynans, postawił przed majorem szklankę mleka, zapewniając jak zawsze, że prosto od krowy. Jakby na potwierdzenie jego słów dobiegł do okien koszar ryk krowy z pastwiska koło Mikołajewa. Był to skrawek ziemi, gdzie żołnierze z Westerplatte prowadzili swoje gospodarstwo rolne, chowali krowy, trzodę chlewną oraz uprawiali wczesne warzywa w inspektach. Sucharski, szczupły i niewysoki, blade na twarzy, ciągle uskarżał się na zdrowie. Szczepku z

„Wesołej Fali”, który tutaj zabawiał załogę przed miesiącem, napisał mu na swoim zdjęciu: „Panu Majorowi Heniowi, żeby był zdruf jak traweczka.” Jemu też się skarżył na swoją dwunastnicę, ale dolegliwości ukrywał przed komisjami wojskowymi, które byłyby rade wysłać go na emeryturę. Na to absolutnie nie miał jeszcze ochoty. Od grudnia poprzedniego roku popijał świeże mleko i twierdził, że mu to dobrze robi.

Radio grało „Madelon” i zapewniało, że Francuzi już stoją kilkoma dywizjami na niemieckiej granicy. Ostrzegają Niemców: „Nie ruszajcie Gdańska, gdyż będziemy go bronić!”

Od czasu do czasu modny „Lambeth-walk” - „jeden krok naprzód, jeden w tył” - Anglia stwierdza, że „zamach na Gdańsk byłby wyzwaniem całej Europy”. Tuż po śniadaniu znów puszczono dziarską „Madelon”, piosenkę o francuskiej kelnerce, którą można uszczypnąć lub pogłaskać, a ona się nie gniewa na żołnierzy. Oto symbol spolegliwej,

sojuszniczej Francji, która oczywiście im da się poklepać, a Niemcom nie pozwoli się uszczypnąć.

„Gdy Madelon do stołu nam podaje...” - darło się radio, gdy tymczasem napięcie rosło. Gdańsk tworzył korpus ochotniczy Hilfspolizei, prasa pisała, że wszystkich krawców gdańskich powołano do szycia mundurów, donosiła też o napływie turystów z Rzeszy, przeważnie uzbrojonych i nie mających zamiaru powracać. Z Gdańska ostatnio dowiedzieli się o przybyciu oddziału szturmowego z Prus Wschodnich w liczbie trzystu osób. Zakwaterowano ich w hali sportowej we Wrzeszczu...

Gdańsk żył w podnieceniu, które udzielało się załodze Westerplatte. Codziennie po kilka razy mówiło się o przemyśle broni z Rzeszy przez stocznię Schichau, o szkoleniu oddziałów gdańskiej policji, o przygotowaniach do puczu, który ma przyłączyć Gdańsk do Rzeszy. A na to Polska pozwolić nie może. Przeciw temu zaprotestuje skromny oddziałek polskich żołnierzy na półwyspie Westerplatte.

Z początkiem lipca zapowiedziano nawet przyjazd samego Hitlera do Gdańska. Miał to być” wystrzał z najcięższej armaty w wojnie nerwów między Polską a Niemcami” - jak zapewniał ”Ilustrowany Kurier Codzienny”. I zaraz potem nadeszło jakby odprężenie. Niemcy zgłosili wizytę krążownika

„Konigsberg” w Gdańsku i to na odległy termin - aż na 25 sierpnia! ”Notyfikacja zamierzonej wizyty ze strony Berlina jest aktem uznania wszelkich praw Polski w Wolnym Mieście Gdańsku” - cieszyło się MSZ na Wierzbowej w Warszawie, a prasa zawyrokowała wreszcie: ”Gorączka znowu opadła!”

Nie wszystko szło na Westerplatte tak, jak by chcieli major i jego zastępca. Kopanie rowów w piachu postępowało wolno, bo noce były teraz niesłychanie krótkie.

Artylerzystów nadal im nie przysyłali, i major się okrutnie irytował, gdy wracali do tego tematu.”Zobaczysz, Kuba, moja dwunastnica za to zapłaci” - zwykł był mawiać. Pewnego wieczoru, dość późno, bo już za oknem rozpościerała się ciemność, siedzieli w mieszkaniu u Dąbrowskiego. Redagowali wówczas kolejne pismo, które do Warszawy miał zawieźć ich tajny wysłannik, a nieodmiennie bywał to chorąży Szewczuk, bo miał żonę i willę w Legionowie. Wówczas to major, nieostrożnie chodząc wokół stołu, strącił jakieś pudełko z komody. Wysypały się z niego małe książeczki, i Sucharski był przekonany, że to książeczki do modlitwy.

- O - powiedział. - Ty, ty także... - ale w pół słowa uciał. Wziął bowiem do ręki jedną z tych książeczek i podniósł do oczu tak, jak się otworzyła na podłodze. Takiej modlitwy nie znał. Czytał głośno:

„Módlmy się wśród drzew Za zdeptany wrzos, Za przelaną krew, Za zburzony los...”

I dodał:

- A więc jednak jest tu coś z modlitwy. To ładne.

- Bolesław Leśmian. Dobre poezje, dostałem je w Kaliszu od dyrektora teatru... - wspominał głośno Kuba.

- Pożycz mi na parę dni - poprosił Sucharski.

Obaj byli zdaje się zdumieni. Major faktem, że Dąbrowski po cichu czytuje poezję jak pensjonarka, a Dąbrowski, że major pożycza i też będzie czytał wiersze.

Gdy już zegary w Nowym Porcie wybiły północ, Sucharski kartkował tomik Leśmiana leżąc w łóżku. Natrafił na strofę, którą Kuba sam, bo któż inny - rozumował major - uznał za ważną, bowiem zakreślił ją wokół czerwonym ołówkiem:

„Zwoływali się surmą na wrzawę zabawę, A jam gadał z mogiłą...”

Wszyscy na koń już siedli, by jechać po sławę, Lecz mnie z nimi nie było.”

Major się zadumał Jak to możliwe, że ten wesoły w towarzystwie i beztroski, a w służbie dokładny i pracowity oficer - taką mu zresztą opinię wystawił - jest czuły na lirykę. Oceniał Kubę jako niezdolnego do wyższych uczuć. Być może potrzebne mu są romantyczne treści, których sam w sobie nie ma. Szuka ich w poezji - takie tłumaczenie wydawało się majorowi najśluszniejszym. Ale dlaczego gromadzi tyle tomików? Kiedy to czytuje?

Gdy po tygodniu oddawał mu tomik Leśmiana, zacytował z pamięci właśnie tę jedną linijkę: -” Wszyscy na koń już siedli, by jechać po sławę...”

- Nie ma tylu koni na Westerplatte. Jest tylko jedna chabeta w Mikołajewie i to zarezerwowana dla komendanta - zażartował Kuba.

Major jakby ucieszył się, że tym zdaniem zbił nieco Kubę z tropu. Wydało mu się, że ten lekko poczerwieniał.

Sucharski nabrał przekonania, że wydarł Kubie z tą strofą jakąś tajemnicę, może odkrył kompleks? Nocami czyta wiersze i marzy o sławie; do czego to podobne? - zastanawiał się major.

Tego samego dnia przechodzili koło kasyna i Sucharskiemu wydało się, że przeznaczenie dało o sobie znać po raz kolejny. Był to znak nieco mętny, ale szkolony na antyku major wiedział, że wyrocznia w Delfach wypowiedała się nader zawile.

Przy stoliku na tarasie kasyna podoficerskiego siedziało czterech wojskowych w różnym wieku, a że rozprawiali bardzo poważnie, zastanowiło to obu oficerów. Tym bardziej że stolik ten nosił miano ”wesołego stolika”. Siadywali tu sierżant Rasiński, radiotelegrafista, zawiadowca stacji Westerplatte Najsarek, Szamlewski i Petzelt - ci dwaj jak bracia mleczni,

prawie nierozłączni. Dziś byli jednak w nastroju jakiegoś dziwnego podniecenia i konsternacji.

Dąbrowski był mistrzem w prowadzeniu rozmów z żołnierzami.

- Co, obmyśliliście jak zgładzić Hitlera? - zagadnął.

- Jeszcze nie. Ale on o nas myśli. Wybiera się do Gdańska - odparł Najsarek.

- I cała Polska o nas myśli. Ale nie wróży nam najlepiej - powiedział Petzelt i podał kapitanowi pudełko papierosów, odwrócone dnem do góry. Na kartonie dużymi literami napisano trzy słowa: "Czołem załoga śmierci".

- Skąd to macie?

- Wyrzucili to z okrętu "Wilia". Rano wypływali kanałem na morze. Pudełko złapał Szamlewski, on miał wartę na przystani.

- Mają nas za kandydatów na nieboszczyków - powiedział Rasiński.

- Petzelt ma inne zdanie. Że to można czytać także odwrotnie: to oni, ci z "Wili", sami siebie tak nazywają.

„Czołem - podpisano - załoga śmierci”.

- Trzeba by ich zapytać, co mieli na myśli - proponował Szamlewski. Wszyscy byli w jak najgorszych humorach.

- Nie zapytamy ich. Popłynęli do Casablanki!

- Gówniarski dowcip i tyle - zawyrokował Najsarek.

- Okręt ma załogę i Westerplatte ma załogę. O którą chodzi?!

- Podejrzewam, że oni myśleli o swojej załodze.

Ta "Wilia" to tylko z nazwy okręt, stara łajba, prawie bez uzbrojenia. W razie czego nie mają szans - wyraził swoją opinię kapitan.

- W Casablance mają szanse - palnął Edek Szamlewski.

- A my mamy szanse na placówce "Prom" - dodał Petzelt.

Problem pozostał nie rozstrzygnięty, a wieść o "załodze śmierci" szerzyła się po całym półwyspie. Na szczęście z podwójną interpretacją, o co szczególnie zadbał Dąbrowski.

Chodziło mu przede wszystkim o to, by nie szerzyły się nastroje przygnębiające.

Majorowi podobało się to podejście Kuby, który budował swoją popularność wśród nowej przeciw załogi, a równocześnie nie tracił z oka spraw natury ogólniejszej. A jednak przypadek plutonowego Barana" wyborowego strzelca i mistrza w posługiwaniu się karabinem maszynowym" który zdarzył się w tych dniach, nastawił go do zastępcy nieprzychylnie. Sprawa zaczęła się jeszcze w czerwcu, a pod koniec miesiąca nastąpił jej epilog w którym Dąbrowski w konflikcie major-załoga stanął po stronie tej ostatniej.

Gdzieś w połowie czerwca plutonowy Baran, przystojny blondyn o nieco lisiej, ale nieskazitelnie nordyckiej twarzy, zameldował się w gabinecie majora. Prosił o przepustkę, gdyż z Sandomierza przyjechała właśnie do Gdańska jego żona.

- Zapowiedziałem, że oficerowie i podoficerowie zawodowi nie otrzymują teraz urlopów - odpowiedział mu służbisty major.

- Ja prosiłbym o przepustkę, tylko o przepustkę, melduję posłusznie. Na kilka godzin. Major nie zmienił zdania, przepustki nie wydał.

Plutonowy Baran chodził po półwyspie i kłął. Wyrażał się brzydko o majorze na plaży, gdzie chłopcy trenowali na kajakach do Zawodów o Błękitną Wstęgę Bałtyku. Major czuł, że dzieje się coś niedobrego, bo zamilkł zupełnie i chodził chyłkiem. Tak przynajmniej trąbili na lewo i prawo komiltoni plutonowego Barana, dodając, że Baran jest szykanowany za czyny patriotyczne. Powiedzieć bowiem należy, że plutonowy Baran w towarzystwie mata Rygielskiego dwukrotnie przebywał w gdańskim areszcie. Po raz pierwszy wszczęli awanturę w jakiejś knajpce Nowego Portu, gdzie płacili za piwo polską monetą. Ktoś rzekomo obraził tę polską monetę, doszło do wymiany słów międzynarodowych o posmaku obelżywym, a przywołana policja przymknęła obu Polaków. Drugi czyn miał znamiona bardziej bohaterskie, choć dokonano go po kilku kieliszkach gdańskiego Goldwasseru. Mianowicie na samym Długim Targu obaj podoficerowie fatalnie wpadli na całą kolumnę defilujących Hitlerjugend, pod sztandarami ze swastyką i przy biciu w werble. Nie zareagowali na nawoływania przechodniów, że należy zdjąć czapki przed sztandarem. Bojówki partyjne obity im dotkliwie boki, oni też kogoś zdzielili, twierdzili w każdym razie, że wpierw należałoby oglądać rezultaty ich boksowania. Tym razem zostali tylko przesłuchani na policji.

Silna grupa pod wezwaniem Rygielskiego, do której należeli jeszcze Adolf Petzelt, znawca niezgorszy wszystkich knajpek strefy wolnocłowej, świetny kolega i dowódca, żołnierz nader służbisty, oraz Edziu Szamlewski - obaj nie dbający o to, by mieć, ale aby żyć - oraz liczne grono ich zwolenników udało się do kapitana Kuby z misją, orędując za plutonowym Baranem i jego biedną żoną, oczekującą w hoteliku Continental na Stadtgraben.

Kuba pokiwał głową i zastanawiając się głośno nad sprawą obiecał pomoc. Oświadczył, że skoro żona plutonowego przyjechała aż spod Sandomierza, więc niech nie wraca bez widzenia się z mężem.

Major, usłyszawszy argumenty Kuby, nadal trwał przy swoim.

- Jak dałbym przepustkę Baranowi, to mi zjadą na kark wszystkie podoficerskie żony. Wtedy trzeba będzie dać przepustki ich mężom i sami we dwóch zostaniemy na placówce.

Nie mogę tworzyć takich precedensów, powinieś to, Kuba, zrozumieć.

- Zrób wyjątek. Powiedz, że to wyjątek. Ludek się burzy.

- Niech się burzy. Niech wiedzą, że komendant ma twardą rękę. I co raz powie, nie cofnie!

Klamka zapadła. Żona plutonowego wyjechała z powrotem pod Sandomierz, a on sam nadużył alkoholu i spał w krzakach.

Na nieszczęście major wybrał się na spacer z psem Erosem.

Olbrzymi dog wywęchał plutonowego i stanąwszy nad nim zaszczekał Plutonowy wówczas spod psa posłał wiązankę majorowi, przy czym z powodu braku świadków nie ustalono dokładnie, jaka była jej treść. Baran opowiadał, że wyraził zastrzeżenia odnośnie tego, czy pan major potrafi uszanować człowieka w podoficerze, natomiast Sucharski twierdził, że Baran używał wyrazów ogólnie uznanych za obraźliwe.

Wyzначył go do raportu karnego i wlepił trzy dni ścisłego aresztu, do odsiedzenia po powrocie do macierzystej jednostki w Sandomierzu.

Wtedy już zrobił się ruch na całe Westerplatte, narady trwały na tarasie kasyna do późna w noc i znowu zwerbowano kapitana Dąbrowskiego, aby wystąpił z postulatami pod adresem dowódcy. Zdaniem zawodowych podoficerów major niesłusznie nie wydał plutonowemu Baranowi przepustki na widzenie się z żoną, a w sprawie incydentu pod wpływem alkoholu przyjęto nową linię obrony. Mianowicie plutonowy Baran został napadnięty przez Erosa i przebudzony, nie wiedząc, co się dzieje, po prostu zaczął kłąć, i za to może pana majora przeprosić.

Kuba zreferował to wszystko majorowi, który zachowywał zimną krew i w ogóle się nie unosił.

- Słuchaj, żołnierz musi wiedzieć, że dowódca jest surowy, ale sprawiedliwy. Trzy dni ścisłego i w zawieszeniu to niedużo. Aby w przyszłości żaden podoficer, jak wypije, nie nagadał ani mnie, ani tobie głupstw.

Tymczasem przyszło upalne lato, a atmosfera polityczna robiła się coraz gorętsza. Przedstawiciel Marynarki Wojennej przybył z Gdyni, aby na wypadek wojny ustalić szczegóły współdziałania z Westerplatte. Uzgadniano, w jaki sposób wysadzony zostanie desant z małych jednostek pływających i przy udziale obu majorów: Rygielskiego i Bartoszaka, wyznaczono nawet miejsce od strony plaży nadmorskiej. W grę wchodziło zasilenie ludźmi i lekkim sprzętem bojowym. Oficer marynarki wraz z Dąbrowskim nanosili na sztabówkę obiekty, zagrażające na wypadek wojny polskiej placówce. To znaczy wieżę kościoła w Nowym Porcie, elewatory zbożowe Prove i Anker oraz latarnię pilotów w pobliżu basenu wolnocłowego. Z tych obiektów Niemcy mogli ostrzeliwać Westerplatte, ale w takim

przypadku marynarka wojenna miała je zniszczyć ogniem artylerii. Dąbrowski ustalił nawet sposób korygowania ognia, ponieważ od strony morza zielony garb Westerplatte zasłaniał te cele. Złożono zatem ten obowiązek na barki wartowni numer dwa.

W kilka dni później przyjechał podpułkownik Sobociński i na spacerze niedzielnym zagadał do Kuby:

- Nic się nie martwcie, te wysokie obiekty w Nowym Porcie zostaną po prostu w odpowiedniej chwili wysadzone w powietrze przez polskie bojówki. Sprawa jest zadecydowana.

2

Listy pisane małymi równymi literkami przychodziły do majora systematycznie, zawsze z pieczętką "Brześć n/Bugiem".

Kuba uśmiechał się, gdy major zabierał je z kancelarii, ale Sucharskiemu wcale to nie przeszkadzało i nigdy tematu nie podjął. Właściwie sam nie bardzo wiedział, jaki jest jego stosunek do tych listów i jak ma traktować ich nadawczynię, która nieodmiennie podpisywała się jako "Twoje maleńkie Kurczątko". Skończył w kilka dni po przyjeździe na Westerplatte czterdzieści lat i właściwie stan kawalerski wcale mu nie przeszkadzał. Jak dotąd w każdym garnizonie miał swobodę wychodzenia i poznawał wiele panien, zawsze chętnych do nawiązania romansu z oficerem, nawet niewysokiego wzrostu. Dopiero na Westerplatte zaczął się prawdziwy klasztor, a na romanse z gdańszczankami nie było czasu ani ochoty. Polska grupka, skupiona przy Komisariacie RP w Gdańsku, była zbyt mała, aby mógł zabawiać się w lowelasa, toteż major żył w celibacie tak przykładowym, jak żaden proboszcz w kraju.

Jeszcze w Brześciu, na balu garnizonowym, poznał owo „Kurczątko”. Bal był wystawny, elegancki i maskowy. Przybyli dawni oficerowie 35 pułku gdzieś z odległych zupełnie regionów, z żonami, oraz kwiat ziemiaństwa z całej okolicy.

Orkiestra częściowo fałszowała, ale była za to zgodnie z życzeniem Pułkownika całkowicie katolicka. W bufecie stał poncz, kawior i czego tylko dusza zapragnęła. Kwiat owego ziemiaństwa, nieco przywiędły, za to tym radośniejszy, że mógł twarze przysłonić maseczkami, balował, walcował i fokstrotował do północy. Wtedy właśnie miało nastąpić rozstrzygnięcie konkursu na najoryginalniejszy kostium.

Pułkownik nalegał na jury, aby wzięte zostały pod uwagę aspekty patriotyczne, gdyż myślał o nagrodzeniu szczupłego dziewczęcia, przebranego w kostium stylizowany na orła białego. Wydawało mu się bowiem, że to córka państwa Ponityckich, właścicieli czterech

folwarków nad Bugiem oraz szwagrostwa generała P. K. Jury oczywiście zgodziło się z sugestiami pana Pułkownika, jako że pozostałe ciała kostiumowe były tłustawe oraz ospałe w ruchach, co jury nastrajało nieprzychylnie. Gdy okazało się jednak, że laureatką jest nikomu nie znana nauczycielka z Polesia, jeszcze chudsza i znacznie wyższa niżli przypuszczano podczas obrad jury - pułkownik zahuczał:

- Panie majorze Sucharski, pan, mosterdzieju, wręczy nagrodę w naszym, hm, tego, mosterdzieju, imieniu i odtańczy z nagrodzoną mazura!

Po czym sam poszedł do państwa Ponityckich, aby dystansować się wobec werdyktu jury. Major niewysokiego wzrostu nie najlepiej się prezentował w parze z tykowatą, wysoką laureatką, ale mazur im wyszedł i nauczycielka była radosna jak ptaszę, nie przypominające w niczym orła.

- Jak pani na imię? - pytał major.

- Wiktoria! Prawda, że fatalnie? - zaszcebiotała orlica.

- Czemu, to brzmi bohatersko. Chociaż w zasadzie, hm - major zdobył się na dowcip - to z pani takie maleńkie kurczątko.

Podbój został dokonany, major jeździł do wioski N. nad rzeką Piną, nad rozlewiskami i moczarami, gdzie rankiem oglądać można było gołym okiem podchodzące łosie. I wcale się nie płoszyły. Panna Wiktoria smażyła pyszną jajecnicę na boczku, a major milczał elegancko, bowiem milczenie było integralną cechą jego charakteru. Najwyżej mówił, gdy dochodziło już do tego tematu, że widzi się ojcem bardzo licznej rodziny, no, dziesięciorga dzieci, ale w chacie rozległej i pod strzechą, tylko nie wie, jak to zrobić, nie pozbywając się munduru. Panna Wiktoria znowu odnosiła się sceptycznie do swoich możliwości w dziedzinie urodzenia dziesięciu potomków - i temat wygasiał. Tak to trwało aż do przeniesienia majora na Westerplatte.

Z upływem czasu jednakże klasztorna atmosfera półwyspu, oddalenie i wyobraźnia zrobiły swoje. Panna Wiktoria powoli wznosiła się na piedestał coraz wyższy, malały jej wady, a rosły zalety. Najwyższa, choć najdrobniejsza z kobiet w jego życiu zajmowała teraz najwięcej miejsca, co wynikało zapewne z faktu, że major już się istotnie postarzał i gotów był iść z życiem na kompromisy. Myślał nawet, że w lipcu, gdy weźmie urlop, pojedzie nie tylko do rodzinnego Gręboszowa, ale przy okazji odwiedzi też Wiktorię, do której listy podpisywał operetkowo "Twój Huzar". Niestety sytuacja polityczna doszła już do stanu poważnego zaostrenia, a jej złagodzenie nigdy nie osiągnęło stopnia, który by umożliwił zgodę dowództwa na urlop komendanta Westerplatte. Tak mu się przynajmniej wydawało i o

urlop nie wnosił. Porucznik Pająk wystąpił z prośbą o udzielenie mu zezwolenia na ślub, a ponieważ należał do półrocznej załogi wymiennej - zgodę otrzymał.

Oficerom stałym pisane było na Westerplatte kawalerstwo, a nawet, co tu ukrywać - starokawalerstwo.

Sucharski na urlop jednak pojechał, ale sprawił to przypadek losowy, którego się nie spodziewał. Choroba rodzinna, wykruszająca systematycznie jego rodzeństwo, atakująca płuca, trapiła już od dawna najstarszą, zamężną siostrę, Bronisławę. Nie spodziewał się jednak, żeby jej stan był tak fatalny.

„Przyjeżdżaj, Bronisława umierająca” - telegram od szwagra nie pozostawiał co do sytuacji żadnej wątpliwości i major nie zastanawiając się poprosił o kilkudniowy urlop. Na drugi dzień Sobociński - po uzgodnieniach z Warszawą - ofiarował mu aż dwa tygodnie wolnego.

- Wyraźne odprężenie, Henryku. Ale gdyby się coś działo - pamiętaj, masz zaraz wracać. Trzymaj rękę na pulsie. Na pulsie wydarzeń w Gdańsku, oczywiście.

Wyjeżdżając Sucharski zaproponował swoje mieszkanie Sobocińskim do dyspozycji. Niechże pani Alicja ma blisko na plażę! Wicek podchwycił tę myśl.

- Wiesz, ja nigdzie nie wyjeżdżam, więc będziemy ci wdzięczni.

Dowodzenie placówką przekazał Dąbrowskiemu z najgłębszym przekonaniem, że oddaje je w dobre ręce. I z nadzieją, że prowadzone ciągle prace przy powiększaniu okopów i budowie schronów ziemnych będzie kontynuował i przyspieszał ich tempo. Na pożegnanie obaj oficerowie ucałowali się z dubeltówki.

Sucharski wyraźnie odczuł, że było to całkiem konwencjonalne, że brakło w tym ich pożegnaniu ciepła i normalnej serdeczności. Żyli obok siebie, ale jakoś nie byli sobie bliscy. Major godził się z tym stanem i nie poddawał go głębszej analizie. Żywił nadzieję, że z czasem się wszystko jakoś ułoży, no i jakoś układało się. Tylko tyle.

3

Ten zakątek ziemi nad Dunajcem i Wisłą znajdował się w środku Polski, a jakby gdzieś na rubieżach. Major jeździł w rodzinne strony mając wrażenie, że przemieszcza się w inny czas. Nie tylko lubił te podróże, ale uważał za swoiste nabożeństwo każdorazowy tutaj powrót. Ziemia, rodzina, rodzeństwo - to były dla niego sprawy święte, czego na sposób realistyczny wytłumaczyć nie potrafił.

Jechać do Gręboszowa należało drogą nieco okrężną. Z

Gdańska do Krakowa, z Krakowa do Tarnowa, a z Tarnowa znów na północ. Wisła nadal stanowiła granicę światów, jak w czasach XIX wieku i zaborów. Czuł po drodze, a podróż trwała ponad dobę - jak oddala się od spraw Westerplatte, żołnierzy, zagrożenia.

Rodzina i rodzeństwo okazywali mu szacunek i przywiązanie, nie ukrywając dumy, że wyrósł z tego zakątka, z tego małego i ubogiego spłachcia ziemi. Ilekroć tu wracał, oceniał na nowo drogę, jaką przebył w życiu, i bilans wypadł dodatnio. Syn ubogiego szewca przybywał z gwiazdkami na pagonach, srebrnymi sznurami i podzwaniający orderami.

Było już ciemno i późno, gdy pociąg dowlókł się do stacyjki w Mędrzechowie. Miał kłopoty ze swoją wielką walizą, bo stopnie wagonu znajdowały się bardzo wysoko nad ziemią. Ledwie wysiadł, lokomotywa czmuchnęła kilka razy pospiesznie i pociąg potoczył się dalej. Kilku podróżnych rozplynęło się w mroku, jak duchy. Przed budynkiem paliła się jedyna lampa naftowa w szklanym kloszu na wysokim słupie, oświetlając pierwsze litery napisu: "Mędr..."

Szwagier stał przy drzwiach, powitał go kordialnie, całując z dubeltówki, i wziął walizę w ręce. Nie bez radości w głosie zauważył, że jest ciężka.

- No jak tam? Jak jej? - pytał major o siostrę.

Szwagier Dubiel zapewniał, że po wysłaniu telegramu nagle Bronisławie się polepszyło. Cieszyła się z jego przyjazdu, nie trzeba jej mówić, że go wzywali, tylko, że urlop, przecież jest lipiec.

Jechali furmanką przez cichy i ciemny kraj, upał dogasał. Miało się pod północ, a jeszcze cięży końskie bąki.

Przez tych kilkanaście kilometrów bezdroża od kolei dowiedział się prawie wszystkiego o wszystkich. O bracie Romanie, o najmłodszej z rodzeństwa Annie, losach brata Franciszka, który zmarł w Ameryce i nie mogli w żaden sposób się dowiedzieć, gdzie go pochowano. O proboszczu i o nauczycielu, i o zbożach, które dojrzewają na tym upale za prędko. Wieś, która dała Wyspiańskiemu temat do dramatu „Klątwa”, nie żyła tego lata przyspieszonym rytmem.

Z dziewięciorga rodzeństwa Sucharskich zostało przy życiu zaledwie czworo, a Bronisława gotowała się do odejścia. Szwagier starał się powiedzieć o niej wszystko, co mógł dobrego, chwila była taka; mówi się same rzeczy najlepsze o gasnącym człowieku. Major jednak najwięcej wypytywał o Hankę, młodszą od siebie o szesnaście lat, którą traktował prawie jak własną córkę.

Zajechali do Gręboszowa przed północą, major ledwie siedział na koźle, zmęczony podróżą. Gdy stanęli przed chałupą ojcowską na Przykońcach, zegar na kościele w Opatowcu

wydzwaniał północ. Słysząc było jego uderzenia z za Wisły, jakby zza miedzy. Pościelili Henrykowi, jak lubił, na sianie w stodole. Zwalił się też od razu na szeleszczące prześcieradło i w cudownych zapachach wysychających ziół zasnął.

Rankiem przy studni mył się, chlastając wodą w twarz, płukał równocześnie usta, ale stwierdził, że go już ta spartańskość nie cieszy. "Postarzałem się, idzie mi piąty krzyżyk" - powiadał coraz częściej.

W ojcowskiej chacie, zapadłej w ziemię, była wilgoć i zapach butwiejącego drewna, dlatego też w ciągu dnia rezydował w stodole na sianie, przy uchylonych drzwiach, tym bardziej że od lat się nie opalał. Zagrożony tą samą chorobą, która po kolei sprzątała wszystkich w rodzinie, musiał wystrzegać się słońca. Pod jego wpływem podobno laseczniki Kocha wzmagaly aktywność.

Bronisławę zastał ożywioną i wcale nie tak słabą, jak sobie wyobrażał. Przezroczyta biała cera i dwa placuszki rumieńców na policzkach, może trochę nadmiernie gadatliwa, znowu czepiała się:

- Heniu, kiedy ty się wreszcie ożenisz? Pewnie już mi nie dasz doczekać swego wesela!

Siostry były natrętne z tym wypominaniem ożenku.

Odpowiadał im przed laty, że ożeni się, jak dostanie porucznika, tymczasem doszedł do majora i żadnych chęci do założenia rodziny jakoś nie wykazywał.

W południe poszedł do swojej ukochanej najmłodszej Hanki, zobaczyć jej córkę a swoją chrześniaczkę. Mieszkała teraz pośrodku wsi, niedaleko pomnika Grunwaldzkiego, w bok od starej, jego jeszcze szkoły. Hanka, niewysoka, czarnobrewa, z dużymi czarnymi warkoczami, ciągle wydawała mu się dziewczyną; upichciła na jego cześć jajecznicę na boczku, rozbełtała kwaśne mleko, bo wiedziała, że takie lubi. Powiedział jej, że niepotrzebnie przyjechał, że telegram ich był zapewne przedwczesny, a jego urlopowanie tutaj to jak gdyby niecierpliwe oczekiwanie na śmierć i pogrzeb starszej siostry. Że nie ma dla Bronisławy ratunku, to pewne, pozostało pytanie - jak długo jeszcze. Hanka zapowiedziała, że cała rodzina zejdzie się u niej na kolacji. Nie wykręci się więc z tej celebry, podczas której cieszyć się będą z przyjazdu brata, puszyć z dumy nad jego majorostwem oraz wspominać dzieje rodzinne po kolei od niepamiętnych czasów. I przepijać nalewką z wiśni, domową, po małym kieliszku, dawnym jakby obyczajem, pijąc jedno do drugiego. "Hanuś, w twoje ręce!" - przechylał mosiężny kieliszek, pokazywał, że wszystko wypił, i nalewał, aby wręczyć Hance.

Najpierw mówiło się o ojcu, którego pamiętał dobrze, niewysokiego i szczupłego, z czarnym wąsem i w stożkowej barankowej czapie. Włókł się za nim zapach kleju szewskiego i za majorem ciągnęło się to odium, zapisane w metryce:

„Filius sutoris”, syn szewca. Nosił w sobie przekonanie, że to mu przeszkodziło wiele razy w awansie, choć racjonalnie mógł sobie wytłumaczyć, że to brak zdrowia i protekcji zaważyły na tym, iż nie nosił jeszcze szlifów pułkownika jak wielu jego rówieśników.

Przesuwała się przed jego oczyma panorama młodości. Do internatu w Tarnowie brane zaświadczenie o ubóstwie od wójta Bojki, który był bratem jego dziadka i sławnym działaczem chłopskim. Książki od niego pożyczane i czytane ukradkiem przed księdzem Halakiem, liczącym na to, że doprowadzi Henryka do stanu duchownego. Wojna światowa, matura i pobór do austriackiej armii: w randze ”jednorocznego ochotnika” idzie na front aż do Włoch. Zachorował tam ciężko na malarię, ledwie się wylizał. Opowiadać im musiał raz jeszcze o pielęgniarce, która być może więcej zrobiła dla niego, niż musiała; wysłuchać komentarzy rodzinnych, wciąż tych samych, że on to na pewno przeżył wielką miłość, tylko o niej nic nie chce mówić. Po trzecim kieliszku opowiadał znowu o okolicznościach odznaczenia go Krzyżem Virtuti Militari, o tym, jak zdobył ze swoją kompanią pozycje bolszewików i dwa karabiny maszynowe, a dowódca w rozkazie dziennym napisał, że ”porucznik Sucharski porwał swoim przykładem chwiejące się już skrzydło. Od tego czasu wraz ze zdobyciem Polonicy-Bohdanówki zaczęła się zwycięska ofensywa naszych oddziałów...”

Bobrujsk, Mołodeczno, potem nazwy ukraińskich chutorów, gdy walczył przeciw konnicy Budionnego, cofając się przed nią aż pod Lwów. Wciąż to samo, za każdym jego przyjazdem powtarzany na nowo rytuał rodzinny.

Trzeciego dnia w białej koszuli i czarnych portkach po ojcu wybrał się wczesnym rankiem do Opatowca, żeby kupić tytoń dla swoich podoficerów. Po drugiej stronie Wisły hodowano wyborną wirginię i sprzedawano do monopolu tytoniowego od dawien dawna. Nieboszczyk ojciec po tytoń też jeździł zawsze na tamten brzeg, do ”kopiejniaków”. Tamci znów przezywali ich, niewiedomo dlaczego, ”parasolami”.

Długo czekał, aż łódka przewoźnika przyplynie po niego z tamtej strony. Usiadł w łożach na piachu, w wielkim słońcu poranka; dzień zapowiadał się upalnie, wąskie listki wikliny migotały srebrem na wątlym wietrze. Przed nim odbijało się w wodzie całe opatowieckie wzgórze, ledwie starczało na nie szerokie lustro Wisły. Pionowo jak tor ucięta góra z lessowej gliny, na szczycie przybrana zielenią. Spośród czubków drzew wystawał tylko gotycki szczyt kościółka, a w lewo od niego po błękitnie krążyły dwa bociany.

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy tu był z ojcem jako mały chłopiec, jeszcze na wiele lat przed wielką wojną. Przy tamtym brzegu stały galary pełne węgla, na wybrukowanym nabrzeżu rżały konie, klęli ludzie, niecodzienny ruch węglowego targu przestraszył go i takie dał mu wyobrażenie wielkiego świata. Zapamiętał spocone atletyczne sylwetki flisaków, rozgorączkowanych handlem Żydów w czarnych chałatach i mocujących się z zaprzęgami chłopów.

Teraz nad tamtym brzegiem panowała cisza, i cień wzgórza kładł się na biały bruk przystani.

Przewoźnik był mrukliwy, nie odezwał się nawet wówczas, gdy łódka zachybotła mocno na wartkim, porywistym nurcie rzeki, ani wtedy, gdy przybili już do brzegu. Pokazał tylko tablicę, na której kulfonami wypisane było: "J. Kułaga, przewóz od osoby 20 gr." Major długo grzebał w portmonetce, aż Kułaga zaproponował, że jeśli wkrótce wraca, to zapłaci potem.

Sucharski zagłębił się w cichy, wykrojony w glinie wąwóz, chłodny i zasłonięty od góry zielonym sklepieniem.

Był sam, szedł po na wpół baśniowych drogach własnego dzieciństwa i pozostawał pod urokiem tego krajobrazu.

Postanowił wstąpić do kościoła; w ławkach siedziały jakieś dwie staruszki i ksiądz odchodził właśnie z kielichem do zakrystii. Na ołtarzach stali zadumani biskupi, pachnący starym drewnem, i brodaci święci modlili się na przyciemnionych przez wieki płótnach obrazów. Z ogromnym chrzęstem butów na kamiennej posadzce podszedł do niego ksiądz proboszcz. Był to plebanus nieco primitivus, w poplamionej sutannie, z nosem jak młody kartofel, w dodatku lekko fioletowym.

- Stary kościół, stary. Były tu i inne, ale razem ze wzgórzem obsunęły się do Wisły. Więc gdy farny marnie przepadł, ten to, dominikański, przemieniono na parafialny...

Opowiedział mu historię świętego Andrzeja Świerada, obrazów w kaplicach, sprowadził go do podziemi, gdzie zachowały się doskonale zmumifikowane zwłoki dominikanów. W świetle naftowej lampy, w przyprószonych pyłem habitach leżeli jak rozrzucone bezładnie, trochę nazbyt wielkie lalki, bo na prawdziwych ludzi za mali.

- Nikczemnego byli wzrostu - zauważył major. - Jeszcze mniejsi ode mnie.

- Dawniej byli mali - wywodził ksiądz, gdy wychodzili z podziemia. Zauważył z przyjemnością, że ów miejski pielgrzym przyklęknął przed wyjściem z kościoła i chwilę żarliwie się modlił.

- Pan z daleka przyjechał? Może statkiem z Krakowa?

- Nie, aż z Gdańska - powiedział szczerze, bo bał się w kościele skłamać, a chciał dochować tajemnicy wojskowej.

- No, to siedzi pan na beczce prochu. Wolne Miasto Gdańsk, co też tam się dzieje!

Odprowadzany współczuciem plebana udał się na rynek, gdzie stały coś trzy karczmy żydowskie, w których zatrzymywali się zwykle flisacy. Wszedł do pierwszej, na zapleczu bardzo hałasowały dzieci, było ich tam okropnie dużo, i miał zamiar już wyjść, gdy pojawił się przed nim pejsaty chudy Żyd w białych pończochach i lisiej czapce - takiego okazu nie widział już przez parę ładnych miesięcy.

Ostatni raz chyba w Brześciu czy w Pińsku.

- Tytuń pan potrzebuje? - powtarzał jego słowa jota w jotę, ale pytająco. Pół funta tylko? Tak niedużo? Wirginia żeby była? Wziął go za rękę i usadził na ławie za stołem.

Muchy stawały się coraz bardziej natrętne, a hałas dzieci się wzmagał.

- Może pan zje pyszną rybkę z Dunajca? Mam łososia, palce lizać. Pan jest wielki pan, ja to od razu widzę, niech pan zje, taki łosoś to delicje. Mam winko, pyszny rizling balatoński, sam pan dziedzic z Bejsc to pije. Zawsze w niedzielę pije i chwali sobie. No co, ja panu upiekę taką rybkę, niech pan czeka. A tytuń? Tytuń już się robi. Już idzie, trzeba trochę na niego zaczekać.

Zjadł pyszną rybę, popił zimnym winem z piwnicy, gdy nagle w drzwiach ukazał się ksiądz.

- Ja tu panu przyniosłem skromny szkaplerzyk. Ja już wiem, że pan jest żołnierz, oficer - poprawił się. - Niech pana Bóg błogosławi, bo nie wiadomo, jak będzie.

Major prędko płaci Żydowi za tytuń i rybę, wyszli razem z księdzem na powietrze, upał lunął na nich z nieba. Wąską uliczką z rynku szli ku Wiśle, proboszcz namawiał teraz na kieliszek redłówki, według receptury miejscowego aptekarza, który ją przywiózł gdzieś z Dorpatu. Nagle ich oczom ukazała się Wisła i wpadający do niej Dunajec, jak z lotu ptaka widziane, urzekające. Widok zapierał dech, cały matecznik polskości leżał u ich stóp. Srebrne wody Dunajca, kryształowo czyste, łączyły się z przybrudzoną Śląskiem Wisłą i przez spory kawał płynęły jeszcze w jednym korycie razem, ale nie mieszając się, jedna obok drugiej. Na horyzoncie stały góry.

- Mój Boże, jakie to piękne.

- A tu są łąki, zawsze co roku, zalewa je powódź.

Zawsze podmokłe, chodzą po nich całe stada bocianów.

Tego nie zobaczy pan nigdzie.

- Niech sobie ksiądz wyobrazi, że matka ofiarowała mnie Bogu w chorobie. Obiecała, że jak wyzdrowieję, to zostanę księdzem. I ja tego ślubu nie wypełniłem, zaraz po maturze poszedłem do wojska. I zostałem tam.

- Ożenił się pan, ma pan dzieci... - powiedział ksiądz.

- Nie, właśnie nie ożeniłem się. Przynajmniej tę część ślubu mojej mamy wypełniłem.
Za mało?

- Jak pan czuje w swoim sumieniu, to jest najważniejsze - powiedział pleban. - I tak wszystko nic niewarte, tylko Bóg jest wieczny. Odczytał pan epitafium koło ołtarza ze świętym Świeradem? Jak pan będzie wracał, niech pan odczyta.

Kościół cały dzień otwarty.

Przewoźnik odezwał się dopiero gdzieś na granicy dwóch nurtów, gdy czółno zachybotało już na Dunajcowej wodzie.

- Ja wiem, kto pan jest. Będzie wojna?

- Nie będzie - mówił z przekonaniem, spotęgowanym przez wino Żyda i redłówkę księdza. - Anglia i Francja są za nami, nie pozwolą Hitlerowi na nas się rzucić. Jeżeli jesteśmy słabsi, powiedzmy, tylko z nożem, a Hitler ma rewolwer, to nie rzuci się na nas, bo z tyłu mierzą w niego Anglik i Francuz z karabinów. W takiej sytuacji tylko głupiec by się na nas powążył.

- Mądrze pan mówi, żeby się sprawdziło. Mam dwóch synów w wojsku.

- Niech pan będzie spokojny - powiedział major.

Ale sam spokojny po tej wizycie w Opatowcu nie był. Tak jak poradził mu ksiądz, wstąpił jeszcze do kościoła, żeby przeczytać epitafium koło ołtarza. Zapisał je sobie w kalendarzyku, bo brzmiało jak memento.

„Byłem, kim jesteś, jestem, kim będziesz, zmów za nas Ojcze Nasz”.

Za nas, A więc i za siebie. Upatrywał w tym jakiejś niewyraźnej przepowiedni, że wszystko skończyć się musi niedobrze. Dla niego.

Słońce paliło okrutnie, szyja przewoźnika była ciemnobrunatna, pokryły ją kropelki potu. Zapłacił mu złotego za przewóz tam i z powrotem.

- Niech pan będzie spokojny, panie kułaga - powiedział na koniec i czuł, że kłamie. Sam nie był spokojny.

Za dwa dni, gdy leżał sobie w południe na pachnącym sianie w stodole, Hanka przyniosła mu od kierownika szkoły gazetę.

- Nowy "Ikac", dzisiejszy. Przywieźli z Mędrzechowa! - wołała w mroczną czeluść. - Gdzieżeś tam jest, Henryku?! - denerwowała się, bo jej oczy nie mogły przyzwycząić się do półmroku.

W pół godziny później wyszedł do Hanki z gazetą i powiedział:

- Niech Dubiel zaprzęga, muszę natychmiast wyjechać.

- Co się dzieje? Tak nagle... O Jezu, po co ja ci tę gazetę przyniosłam. Pewnie coś wyczytałeś...

Jeszcze w pociągu powtarzał sobie to niezgrabne zdanie z gazety: "Na Bischofsbergu każdy wie, że stoją tam ciężkie działa, spacerować tamtędy nie wolno". Te działa wkrótce muszą wystrzelić. "Znów wyładowano ze statku tysiąc żołnierzy niemieckich w Sopotach."

Wracał, aby usadowić się spokojnie na swojej beczce prochu, bo taki był rodzaj spokoju, jaki los mógł mu właśnie ofiarować.

Na stacji w Krakowie kupił w kiosku Ruchu nowego, pachnącego farbą "Ikaca". Długo wertował strony, aż na trzynastej, feralnej, przeczytał wieść prosto z Gdańska.

„18 lipca policja gdańska zatrzymała na przeciąg około 1 godziny w porcie gdańskim pułkownika Sobocińskiego, kierownika wydziału wojskowego w Komisariacie Generalnym RP w Gdańsku, który odbywał przejażdżkę motorówką...”

Komisariat Generalny złożył protest w Senacie Wolnego Miasta. Tytuł informacji brzmiał: "Ośmielili się zatrzymać polskiego pułkownika".

Poniżej wydrukowano dużymi literami: "Przestroga Naczelnego Wodza". Śmigły-Rydz raz jeszcze oświadczył, że Polska będzie się bić o Gdańsk.

Sucharski miał przecucie, że to wkrótce nastąpi, i że musi jak najprędzej znaleźć się na Westerplatte.

1-21 sierpnia 1939.

INSTRUMENTY DLA DOKTORA SŁABEGO

1

Niespodziewany powrót majora spowodował pewne komplikacje mieszkaniowe w willi oficerskiej i zdziwienie Sobocińskiego.

- Aż tak się przejąłeś tym, że mnie zatrzymali Niemcy? I to w dodatku z żoną, którą, niestety, wypuścili... - błaznował sobie wielki Wicek.

Musiał więc Sucharski wysłuchać opowieści o ich przygodzie, gdyż Sobocińscy chodzili jeszcze w aureoli bohaterstwa i mitrze męczeństwa. Ich wyprawa miała wyglądać na niewinny spacer motorówką w dzień upalny, dla ochłody i w celach krajoznawczych. Celem

prawdziwym było wypatrzenie rejonu koncentracji wojsk niemieckich na prawym brzegu Leniwki. Motorówka "Bajka" z matem Bartoszakiem przy sterze przyjęła na swój pokład Sobocińskiego w krótkich portkach i jego żonę ubraną jeszcze bardziej kuso. Płynąc na południe Martwą Wisłą zajadali się kanapkami z szynką oraz demonstracyjnie posługiwali termosem. Ze służby w Przegalinie wypłynęli na główny nurt Wisły i wkrótce pułkownik ujrzał całą koncentrację wojsk Wehrmachtu. O tym, że znajdowała się ona w rejonie wsi Górki Wschodnie, przekonali się wkrótce z bliska. Gdy tylko motorówka ukazała się na nurcie Wisłoujścia, otrzymali ostrzał przed dziób i nakaz zatrzymania się. Na brzegu już czekała straż graniczna, gestapo, celnicy i awantura. Po porozumieniu się z Komisariatem Generalnym w Gdańsku puszczono ich. Gdy jednak dopływali już na Westerplatte, zostali znów zatrzymani przez Niemców i zawleczeni do twierdzy Wisłoujście. Na brzegu jakiś rybak czy też agent, albo jedno i drugie, chciał pobić Sobocińskiego, ale "mat go zaszachował lewym prostym" - jak opowiadała pani Ala. Zwolniono ich po godzinie, tak wyglądała cała afera. Bartoszak chwalił się swoimi wyczynami, popisami bokserskimi w obronie Sobocińskiego i pani Alicji, i nosił się, jakby już samodzielnie wygrał wojnę o Gdańsk.

Tymczasem Sucharski zapytał Kubę, czy może wnieść łóżko dla siebie do jego pokoju, bo nie chciałby, aby Sobocińscy uciekali do Gdańska, szkoda takiej cudownej pogody. Tak więc obaj dowódcy zamieszkali pod wspólnym sufitem, co wpłynęło na wytworzenie się między nimi większej zażyłości. Trudno to jednak nazwać było przyjaźnią, bo nigdy nie przekraczali w rozmowach kręgu spraw osobistych.

W pierwszych dniach sierpnia przyszedł telegram, że zmarła siostra majora. Sucharski uznał, że prosić o następny urlop nie może, bowiem atmosfera stawała się wokół nich coraz bardziej nerwowa. Niemcy wyładowywali broń w porcie gdańskim już niemal oficjalnie, Kuba sam widział, jak na drugim brzegu kanału pchali zdjęte z okrętu działko przeciwpancerne.

Prowokacje mnożyły się. Z okien jakiejś willi w Gdańsku rzucono petardę pod koła nadjeżdżającego samochodu Komisariatu Generalnego, którym jechał inspektor celny, pan Siekierski. Petarda wybuchła na szczęście nieco za późno.

Niemcy gdańscy zabili natomiast polskiego celnika Budziewicza? Minister Chodacki wystosował ostry protest do władz Wolnego Miasta Gdańska, domagając się ujawnienia nazwisk zabójców. Bez odpowiedzi. Sobociński całymi dniami przesiadywał w Gdańsku ku irytacji swojej żony, która na plaży zyskała kolor ciemnego brązu i ślicznie się uśmiechała. Nosila się na niebiesko, bo to podkreśla opaleniznę.

Sobociński wieczorem tłumaczył, jak wygląda tak zwana samoobrona Wolnego Miasta, które ma w tej chwili trzy pułki policji, każdy po tysiąc pięćset ludzi, a Heimwehr SS Danzig, ubrany w czarne mundury, liczy tysiąc osób. Senat gdański wydał właśnie zarządzenie o przesunięciu terminu rozpoczęcia roku szkolnego aż na 1 października, gdyż budynki szkół zajęte zostały przez formacje militarne i paramilitarne. Nauka w Gdańsku rozpoczynała się zwykle z początkiem sierpnia.

Operacja powiększania stanu załogi westerplatte przebiegała na ogół sprawnie, a fortel z użyciem cywilnych pracowników zdawał egzamin wyśmienicie. Mieli oni już dobrze dobrane mundury wypływali holownikiem do Gdyni w niedzielę, odgrywając całkiem udatnie żołnierzy na przepustce. Pierwszy rzut z pułków piechoty w Nowowilejce, Mołodecznie i Wilnie pilotował Dąbrowski z Gdyni nieco poirytowany, gdyż jadąc samochodem z Gdańska miał po drodze przykre spotkanie z oddziałem Heimwehry. Odbywali ćwiczenia z karabinami maszynowymi. Czynie to całkiem jawnie, prawie manifestacyjnie w okolicach Oliwy.

W tym samym rzucie przyplłynęli na Westerplatte artylerzyści do obsługi owej jedynaczki, carskiej armaty.

Przybyli z XIV Dywizjonu Artylerii Konnej z Białegostoku, z kapralem Grabowskim na czele.

- Jak myśmy się zegnali z tym Białymstokiem, panie kapitanie, to aż do czwartej rano. Spałem sobie potem na kanapie w drugiej klasie, a konduktor mnie nakrył. Ale jak zobaczył rozkaz wyjazdu, powiada: "A pośpij sobie, żołnierzu, bo nie wiadomo, gdzie wkrótce będziesz spał..."

Kapral Grabowski był bardzo rozmowny, miał szeroką prostą twarz z małym czerwonym noskiem, co Kuba wziął niesłusznie za oznakę pewnych skłonności. Kanonierzy jego byli prędcy i uważni w pracy, której im wcale nie brakowało.

Najpierw sumiennie pooglądali działo w garażu koszar i Grabowski kręcił nad nim głową jak szczygieł.

- Miała przedtem kaliber siedemdziesiąt sześć, ale się rozluzowała, to nadlali jej koszulkę i teraz ma siedemdziesiąt pięć milimetrów. Ja, panie kapitanie, wcale nie jestem pewny, czy ona przy pierwszym strzale się nie rozleci.

Po tych pesymistycznych zapowiedziach nalegał, aby działo przestrzelać, wypróbować, ale widząc, że nie ma szans, musiał przyjąć za pewnik, że Lafirynda będzie jednak w razie czego normalnie strzelała, bez ekscesów.

- Wybrać trzeba stanowisko dla Lafiryndy i brać się do urządzenia go... - proponował Dąbrowski.

- Gorsza sprawa, że ta, jak pan kapitan powiada, Lafirynda, strzela torem na wprost. A tu, widzę, wszędzie las. Pocisk zawadzi o gałązkę i już nam eksploduje na miejscu. Trzeba będzie lasek przystrzygać, ot co.

Wybierali długo stanowisko dla Lafiryndy, wreszcie znaleźli je pomiędzy elektrownią a Mikołajewem, na zachodnim krańcu półwyspu. Zwrócona paszczą w stronę wysokich zabudowań na lewym brzegu kanału miała ostrzelać zainstalowane tam w przyszłości karabiny maszynowe. Było dla Dąbrowskiego oczywiste, że Niemcy tam je zagnieżdżą, na latarni pilotów, na elewatorach i magazynach. Stamtąd mogą trzymać pod ostrzałem całe Westerplatte.

Grabowski na polecenie Sucharskiego wyrysował na mapie sztabowej potencjalne cele dla armaty, którą od Mikołajewa nazywano teraz Lafiryndą Mikołajewną, i z rysunku tego wynikało, gdzie trzeba będzie las podstrzygać. Trwała praca przy budowaniu stanowiska artyleryjskiego, porządny okop już było widać, obok schron dla kanonierów i magazyn na granaty.

Ryli po nocach jak krety, aby sąsiedzi zza kanału nie zorientowali się, że budują nowe umocnione stanowisko.

Pobierali z magazynu wciąż nowe piłki, które gubili po ciemku, zabawiając się w obcinanie gałęzi. "My, jak duchy, panie majorze, siedzimy w nocy na drzewach – opowiadał Grabowski, który przyniósł plan ostrzału do zatwierdzenia Sucharskiemu.

Upał w sierpniu nie ustawał, wieczorami było parno i w willi oficerskiej grywano w bridża przy otwartych oknach.

Dołączał do karcianego towarzystwa porucznik Pająk, gorliwie terminujący w grze. Był świadkiem historycznego szlema, który wylicytował Dąbrowski z panią Alą i legł bez jednej, ale zaraz się usprawiedliwił:

- To wszystko przez ten cholerny tartak za oknem!

Ludzie Grabowskiego byli istotnie niezmordowani, a w robieniu symfonii dźwięków pomagali im dzielnie ci z placówki "Prom" od chorążego Gryczmana. On też dla uzyskania lepszego pola ostrzału musiał wycinać wśród drzewostanu przecinki, nawet całkiem spore. Pachniało tam już żywicą, a wielkie pnie postanowiono zużyć na budowę barykady przeciwczołgowej.

W dzień część załogi wylegiwała się na plaży, bo utrzymywała się pogoda nieprawdopodobnie cudowna. Ozdobą złocistego piasku Westerplatte była oczywiście pani Alicja.

Ukazując się w dwóch na przemian, ale tylko jednym bardzo kusym, kostiumach kąpielowych, podnosiła temperaturę wśród załogi męskiej Westerplatte do niebywałych wyżyn. Zawsze w pobliżu znajdował się plutonowy Petzeit, bardzo pięknie i proporcjonalnie zbudowany młodzieniec, przy każdej okazji wygłaszający namiętne tyrady przeciwko grze w karty, a za zdrowym wpływem spacerów nadmorskich.

- Umów się z nim, Alu, na nocny spacer - namawiał Kuba.

- Ja się zajmę Bezą!

I przyciąga do siebie erdelterierkę, która koczowała od miesiąca po wszystkich zakamarkach półwyspu.

Tu na plaży przeglądano nowe, a właściwie zapóźnione numery "Ikaca", podrzucane z Gdyni, i hitlerowski "Danziger Vorposten" z Gdańska.

„Konflikt o Gdańsk dojrzewa” - cytowano prasę szwedzką.

Winston Churchill zwraca uwagę na koncentrację dywizji niemieckich we wschodniej części Niemiec, koło Wrocławia.

„Dla Polski sprawa Gdańska jest kwestią życia, dla świata to symbol” - pisał Konrad Wrzos w "Ikacu". "Danzinger Vorposten" obrzuca inwektywami polskich celników i donosi, że Gdańsk zawiesza ich działalność. Spółdzielnie na terenie Gdańska wymawiają Polakom mieszkania, bojówki hitlerowskie biją na ulicach tych, co rozmawiają głośno po polsku.

Kuba jeszcze raz popłynął do Gdyni, tym razem motorówką „Bajka”, aby przywieźć dwóch nowych oficerów. Lekarz, kapitan Słaby, fizycznie był zaprzeczeniem własnego nazwiska: wysoki, barczysty i mocny, dłonie duże jak u boksera. Podporucznik Kręgielski z Gniezna od razu zyskał sobie przydomek "Mały", i Kuba pomyślał, że major się ucieszy. Wydawało się, że będzie niższy od komendanta, ale okazało się to niestety tylko marzeniem.

Około siódmej wieczorem wpłynęli do zacisznego kanału portowego; odczuli zaraz, że jest tu duszno i nie ma czym oddychać. Od strony Gdyni prażyło jeszcze dość wysokie sierpniowe słońce, lśniło w okienkach latarni pilotów i kładło jaskrawe plamy na ścianach elewatorów. W porcie skrzypiały dźwigi, jakieś dwa statki ładowały zboże, trwał wokół nich ruch i gwar. Na prawym brzegu - a mieli go po lewej ręce stojąc na dziobie motorówki - wzdłuż czerwonego muru, a właściwie nad nim, rozciągała się i kipiała bujna zieloność drzew na Westerplatte. Wszystko, co tam się znajdowało, ukrywał przed ciekawymi oczyma las. Wielki las.

A za lasem morze - bo Westerplatte to wąski pasek lądu między kanałem portowym a morzem. Dąbrowski powtarzał objaśnienia mechanicznie, jakby uruchamiał płytę z nagraniem:

- Westerplatte to, panowie, półwysep, o powierzchni około sześćdziesięciu hektarów, my użytkujemy praktycznie około dwudziestu pięciu, z czego jeden pod uprawę roli...

Ostatnie słowa wprowadzały zawsze słuchaczy w zdumienie, gdyż informacja o własnym gospodarstwie rolniczo-hodowlanym, w którym prócz warzyw hodowano krowy, świnię i jednego konia, budziła nieodmienny entuzjazm. Na razie byli względem siebie z dystansem, choć już mówili sobie na ty, gdyż Kuba jeszcze w Orłowie zaciągnął ich na mały koniaczek. Przy okazji wypili bruderszaft, bo jak mają tutaj wspólnie pracować, a może i walczyć, na co się zanosi, to nie ma sensu mówić sobie przez pan. Bezpośredniość Dąbrowskiego przypadła nowym oficerom do gustu, a subordynacja Małego i wylewna spontaniczna szczerść wypowiedzi doktora Słabego w nieustannie przekrzywionej na bakier rogatywce bardzo podobały się Kubie.

Szli od przystani ciekawie rozglądając się, dziwili się, że wszędzie tylko las i las, że taka masa zieloności, aż wreszcie wyszli na plac koło koszar. Najpierw były wille starego gdańskiego kurortu - z czerwonej cegły, pruskiego muru, z drewnianymi wykuszami, gankami i werandami. Kuba objaśniał: - Willa podoficerska, kasyno podoficerskie, stare koszary, za kasynem willa oficerska, tutaj zamieszkacie. Po drodze minęli nieciekawy szary budynek z okienkami gdzieś u góry, przypominający miejskie szalety publiczne. Kręgielski zapytał o niego, dopiero gdy dochodzili już do willi oficerskiej, i Kuba roześmiał się.

- Może rzeczywiście wygląda to jak przybytek "pour la dames et pour monsieurs", ale to ważne punkty, wartownie, o wszystkim się wkrótce przekonacie.

Poprowadził ich do nowych koszar, musieli podziwiać ich imponującą bryłę, zbudowaną na planie litery T, nowoczesną i kształtną, z dużymi oknami i wyrzeźbionym w kamieniu orłem nad wejściem. Wyszedł im naprzeciw Sucharski, znak, że czekał, a także i wypatrywał.

Przyjął nowych oficerów ani wylewnie, ani sztywno. Kuba, który znał komendanta, uważał, że było sympatycznie, ale oni sami, że nijako. Major uderzał się nowo kupioną w Gdańsku trzcinką o starannie wypolerowane cholewy i recytował formułkę, która jemu samemu wydawała się oryginalna:

- Przyjechaliście tutaj nie na zabawę, ale na ciężką służbę. Wróg niedaleko i o każdej porze trzeba być w pogotowiu.

Kuba był zdziwiony, gdy Kręgielski wyrecytował mu to, słowo w słowo, następnego dnia.

Wkrótce Kręgielskiemu przypadła rola dowódcy placówki „Przystań”, która miała bronić półwyspu od strony kanału.

Trzeba było także po nocach - jak ludzie Grabowskiego i Gryczmana - jąć się prac ziemnych i przygotować okopy i schrony. Kuba przychodził doglądać prac, które w sypkiej i kamienistej ziemi posuwały się wolno.

- To ma być rów dobiegowy, poruczniku Kręgielski?! - warknął pewnego dnia, i Kręgielski zapamiętał mu to warknięcie. Jako jedyne zresztą w ciągu całej swojej służby na Westerplatte.

Przy wieczornych bridżach pojawił się nowy partner w osobie lekarza, kapitana Słabego. Miał miły naiwny uśmiech prowincjusza i okropnie gestykulował przy rozgrywce, w której prezentował styl ofensywny. Powietrze nad stolikiem pełne było rąk pana doktora, jak twierdziła pani Alicja.

Doktor miał dłonie bardzo duże i karty w nich wyglądały jak wachlarzyk dla lalki. Opowiadał o domku z werandą w Dębicy, gdzie dotąd mieszkał, i o pięknych kwiatkach, które od szosy były nieustannie przykurzone.

- Prześladowuje mnie warkot w życiu. W Dębicy samochody na drodze, a tutaj piły po nocach - narzekał.

Ponieważ grał w bridża bardzo dobrze, był na Westerplatte ceniony. I nawet wówczas, gdy z miną apostoła wygłaszał stare jak świat powiedzonka bridżowe w rodzaju:

„Figur na figur, jak mawiał święty Igrur”, wybaczano mu to.

Grodecki miał gorsze. Jako przeciwnik impasu wykrzykiwał, że „Impas pimpas dusi grę”. Słaby natomiast wykazywał przy impasach wielkie wycucie, ale oświadczał zwykle bezceremonialnie: „Teraz bierzemy tę damę pod siebie”, i uważał to za zupełnie naturalne, mimo że pani Ala rumieniła się aż po głębię dekoltu, a jej psica Beza szczekała z oburzenia.

2

Wreszcie - było to w niedzielę, 13 sierpnia - Dąbrowski przyplłynął z Orłowa, wiodąc na holowniku ostatni rzut przemypanych żołnierzy. Tak jak poprzedni pochodzili z Wileńszczyzny i zaciągali tak śmiesznie i miękko z litewska.

Nazwiska mieli wielce oryginalne, jak wydawało się Kubie, który ukradkiem na holowniku czytał listę: „Prutis, Ortian, Krućko, Chriczanowicz...”

Zapamiętano tę niedzielę jako szczególnie smutną.

Jeszcze z początkiem sierpnia minister Chodacki wydał wszystkim pracownikom Komisariatu Generalnego nakaz ewakuowania rodzin do kraju. Opierała się temu pani Alicja Sobocińska, zgłaszając całkiem oficjalnie, że zostaje na Westerplatte jako pielęgniarka przy doktorze Słabym.

Oczywiście nikt nie chciał traktować tego poważnie, Sucharski był autentycznie przerażony i wołał:

- Ależ pani Alicjo, tej ofiary my nie możemy przyjąć.

Jesteśmy niegodni!

Tak więc trzeba było się rozstać. Odegrano pożegnalną partyjkę, każdy rober skropiony niemal łzami, doktor Słaby wyrażał żal z powodu utraty pielęgniarki, ale ważniejsze były przecucia, które nie zostały wypowiedziane. Pani Ala zadeklarowała, że część siebie pozostawi na półwyspie, w dowód czego postanowiła "ofiarować Bezę dowództwu", jak się wyraziła. Obcałowała serdecznie wszystkich przyjaciół, nie wyróżniając Kuby, choć jemu było jakoś szczególnie smutno.

Wydawało mu się, że wiele pozostało między nimi nie wypowiedziane. "Alicja to jest sztuka, która nigdy odegrana nie będzie", mówił do siebie, zauważając, że skazany jest na nieustanne związki myślowe z teatrem.

Stali długo pod willą oficerską, gdy opel Sobocińskich powoli toczył się do alejki, i wydawało im się, że dzieje się coś nieodwracalnego i ostatecznego, ale nikt nie potrafił tego określić. Jeszcze w ostatniej chwili pani Alicji upadła biała chusteczka, którą machała zamasyście, a może rzuciła ją specjalnie? Auto przyhamowało - z tyłu zapaliła się na moment czerwona lampka, po czym wielki Wicek dodał gazu, auto znikło. Dąbrowski wówczas powiedział:

- Oto zapaliła się czerwona latarnia epoki, zapamiętajcie!

- Z jakiej to sztuki pochodzi? - Grodecki postanowił zepsuć nastrój i całkiem mu się to udało. Kuba roześmiał się i zapewnił, że na pewno nie z Szekspira.

Jedno było pewne: bridże od tego czasu straciły wiele bez "ozdoby stołu", jak mawiali, ale grywali trenując porucznika Pająka, wykorzystując sukurs Kręgielskiego, i uznawali to za wspaniały wypoczynek dla nerwów w tej zagęszczającej się wokół nich atmosferze wojennej.

Częste i jednoznaczne deklaracje sojuszników, Francji i Anglii, przekonywały ich, że wojny nie będzie, bo Hitler nie odważy się walczyć na dwa fronty. Natomiast - przewidywali - zechce zgodnie z czynionymi od dawna obietnicami przyłączyć Gdańsk do Rzeszy. Tak więc dla nich pozostawała jednak wojna.

- Wojna ma to do siebie - perorował przy bridżu doktor Słaby - że każda strona stara się zabić przeciwnikowi jak najwięcej żołnierzy. Nie zawsze udaje się to zrobić dokładnie, i w ten sposób powstają ranni. Nimi mamy się zająć my, lekarze wojskowi. Ale jakby, nie daj Boże, tutaj zaczęła się strzelanina, to czym ja wyjmę, na ten przykład, kulę z nogi żołnierza?

Przecież tu nie ma żadnych narzędzi chirurgicznych, nie mam stołu operacyjnego, nie mam butli tlenowej...

Dąbrowski aż podskoczył.

- Mieciu, na litość boską, czemu o tym wcześniej nie mówiłeś?!

- Jestem tutaj dopiero dwa tygodnie! - bronił się Słaby.

Należało się z tym, zdaniem Kuby, wybrać do majora i sprawę w trybie przyspieszonym załatwić. Sucharski uznał racje lekarza i wykonał kilka telefonów, po czym poinformował Słabego, że wyposażenie zostanie nadesłane z Gdyni.

Podpułkownik Sobociński telefonował z Komisarjatu Rządu w coraz to bardziej minorowym nastroju, ale nadrabiał udaną wesołością i dodawał pozdrowienia od żony, już z Warszawy, dla całej załogi. Major z namaszczeniem przekazywał je przy obiedzie Dąbrowskiemu, który obruszał się, że nie jest całą załogą. W jadalni mówiono więcej de publicis. "Polska nie wyrzeknie się nigdy Gdańska" - powtarzano teraz słowa Śmigłego-Rydza, wypowiedziane na zjeździe legionistów w Krakowie, który odbył się właśnie w tych dniach.

Równocześnie dotarły do nich dwie ważne wiadomości.

Zamiast zapowiadanej wizyty krążownika "Konigsberg" ma do Gdańska zawinąć inny okręt, "Schleswig-Holstein". Po co przybywa? Marynarze niemieccy mają uczcić pamięć swoich kolegów, poległych na krążowniku "Magdeburg" w dniu 26 sierpnia 1914 roku. Mija więc - jak podawano w prasie niemieckiej - dwudziesta piąta rocznica i marynarze z pancernika "Schleswig-Holstein" złożą tylko kwiaty na cmentarzu w Gdańsku, gdzie pochowani są ich koledzy z zatopionego "Magdeburga". Sama kurtuazja, nic więcej.

- Niemcy zapewniają ministra Chodackiego, że ich okręt wpłynie do Gdańska bez amunicji - przekazywał Sucharskiemu informacje Sobociński.

Tego samego dnia rozpętało się piekło z wagonem, którym jechały z Gdyni na Westerplatte rzeczy różne, a między innymi wyposażenie dla izby chorych doktora Słabego.

Niestety wagon ten zawierał w większości militaria, a to: amunicję do karabinów, pociski artyleryjskie, hełmy stalowe, maski gazowe, części zapasowe do cekaemów oraz aparaty i butle tlenowe. Senat Wolnego Miasta złożył protest na ręce ministra Chodackiego w sprawie nielegalnego przewożenia na Westerplatte amunicji pod etykietą żywności. Sobociński wtajemniczał Sucharskiego:

- Musieliśmy powiadomić ich, że wagon ten z Gdyni skierowano na Westerplatte pomyłkowo, gdyż przeznaczony był dla kogoś innego w głębi kraju. I przeprosiliśmy!

- Dyplomacja - odrzekł filozoficznie Sucharski.

- Przyślijcie samochód do nas, jeszcze to i owo zdążymy wam podrzucić z Komisariatu.

Sucharski wracał z Gdańska załamany i jeszcze bardziej małomówny, tak że Kuba zapytał go zaraz po wyjściu z samochodu:

- Rany boskie, stało się coś?

Z trudem udało się wyciągnąć od niego wiadomość o zatrzymaniu wagonu, o aresztowaniach wśród kolejarzy polskich, które nastąpiły z tego powodu czy też pod pretekstem zatrzymania wagonu.

Wieczorem przybiegł do Dąbrowskiego bardzo zdenerwowany doktor Słaby. Wymachiwał egzemplarzem gazety "Danziger Vorposten", który Sucharski porzucił w jadalni.

- Czytałem spis zarekwirowanych przedmiotów w tym wagonie. Tam nie ma mowy o stole operacyjnym ani o narzędziach chirurgicznych.

- O co właściwie im idzie?

- Jak znam niemiecką dokładność, a wymieniają tylko aparaty i butle tlenowe, to wyposażenia dla mnie tam nie załadowano. Ten ogniomistrz Piotrowski nabił mnie w butelkę.

- Nie sądzisz, że Niemcy specjalnie tego stołu i narzędzi nie wymieniają?

Słaby był wyjątkowo wzburzony.

- Nie, nie sądzę. To Piotrowski ładował ten wagon w Gdyni. Po co mi opowiadał takie bzdury. Na każdym kroku musi być polski burdel. Zaraz idę do majora...

Kuba westchnął ciężko i jął tłumaczyć lekarzowi, że wszelkie działania w tej sprawie nie ma sensu, ponieważ wagon i tak został skonfiskowany.

- No i co z tego? - Słaby nie ustępował.

- Po prostu nie sprawdzisz, były narzędzia, czy nie były.

- Ale ktoś zlekceważył moje postulaty, twierdzą, że major je w całości przekazał do Gdyni. Może Piotrowski coś wyjaśni - gorączkował się Słaby.

Mieciu, daj z tym spokój. Pojedzie jeszcze do Gdańska auto po jakieś materiały, powiem, żeby pamiętano o twoich instrumentach...

Słaby zgodził się, ale dość niechętnie.

Było ciemno za oknem i z oddali dochodziły odgłosy piłowania. To niezmordowany Grabowski robił wśród drzew tunele dla swoich przyszłych pocisków.

Piątek, 25 sierpnia 1939.

PANCERNY KOŃ TROJAŃSKI

1

Gdy przed ósmą rano Józus Kita odnalazł Dąbrowskiego w jadalni koszar, kapitan był zajęty rozmową z Piotrowskim na temat wagonu, który zarekwirowano im na stacji Troyl. I chodziło mu nie tyle o instrumenty chirurgiczne, ale o broń i amunicję, a także drut kolczasty potrzebny do wykończenia zasieków.

- Trzeba pojechać do Gdańska samochodem, zabrać co jeszcze zostało u Sobocińskiego!

- Ja, panie kapitanie, na taką wyprawę jestem już za stary. Jeżeli jednak pojedzie się samochodem, Gawlicki sobie da radę, on jest cwany - wymawiał się ogniomistrz.

Zaplanowali wypad półciężarówką do Gdańska na sobotę, a powrót w niedzielę nad ranem, przyjmując, że wszelkie Hilfspolizei i SS Heimwehry będą wówczas leczyć skutki nadużycia piwa i pochrapywać. Gdy wszedł do jadalni Kita, kapitan sądził, że dzieje się coś poważnego, i pobiegł zaraz do gabinetu dowódcy. Ale major wydawał się spokojny i w dobrym humorze.

- Napijesz się kawy? Mam świetnego Jacobsa, korzystajmy z luksusów, póki można - zaproponował.

Kuba z pewną pobłażliwością patrzył na te skłonności Sucharskiego do luksusu i składał je na karb starokawalerskich odchyłeń, które pewnie i jego wkrótce czekają. Komendant musiał mieć kawę tylko z Wiednia, co zresztą skądinąd Dąbrowskiemu bardzo odpowiadało. Jeżeli kupował pulower, to koniecznie angielski, z najlepszej szetlandzkiej wełny. Jeżeli pióro wieczne, to złotego pelikana, a papierośnicę przynajmniej srebrną i z grawerowanym monogramem... Fakt, że komendant kochał się w eleganckich drobiazgach i luksusie, raczej podobał się Kubie i zapisywał to starszemu koledze na plus. Gdy Józus wniósł wonną kawę i postawił dzbanuszek z westerplacką śmietanką z Mikołajewa, major wypowiedział nagle zdanie po łacinie, które Kubę wprowadziło w zdumienie.

- "Equo non credite"! Tak pisał Wergili, ale... Któż dzisiaj czytuje Wergilego?

Widząc zdumienie Kuby - major rozwijał temat.

- "Equo non credite". Nie wierzcie koniowi. Wergiliusz w „Eneidzie” bardzo dokładnie opisał ów moment, kiedy przed klęską Troi wprowadzono tam wielkiego drewnianego konia. I przestrzegał ktoś Trojan wołając: "Nie wierzcie koniowi!". Radził, by zepchnąć go w morze albo przynajmniej przewiercić jego bok i zajrzeć do wnętrza. Umiałem ten fragment "Eneidy" na pamięć, tarnowskie gimnazjum to była dobra szkoła

humanistyczna, możesz mi wierzyć. I tak dzisiaj myślę, że historia się powtarza, tylko w innych dekoracjach, a ludzie są tak samo naiwni jak przed kilkoma tysiącami lat.

Kuba pił znakomitą kawę, która przypominała mu dziecinne lata i śniadania w Wiedniu, słuchał tyrady o koniu trojańskim i czuł się po trosze przybity erudycją majora.

Nie znał go dotąd z tej strony.

- W Gręboszowie, gdzie przyszedłem na świat, rodzi się bardzo mało sietniaków, przygłupów i wodogłowców. Może dlatego i ja nie jestem jako syn kmiecia tak ograniczony, aby sądzić, że pancernik, który właśnie do nas płynie, ma oddać tylko wizytę kurtuazyjną. Do wizyt kurtuazyjnych nie trzeba grubego na dziesięć centymetrów pancerza na linii wodnej burty ani czterech dział o kalibrze dwudziestu ośmiu centymetrów, do których każdy pocisk waży ponad trzysta kilogramów. W dodatku nie wiem, co jeszcze w jego pancernym brzuchu się znajduje.

Kuba wysłuchał pierwszej tak długiej tyrady swego komendanta, więc był zdumiony nie tylko jego klasyczną edukacją, ale i skłonnością do dłuższego mówienia niż wymagała tego służba.

- Sobociński zapewnia, że "Schleswig" płynie bez amunicji. Na jego pokład będzie zaproszony minister Chodacki. Myślę, że w tej sytuacji, gdy oczy całego świata zwrócone są na Gdańsk, nie zrobiliby takiego numeru, żeby strzelać z tych dział do nas... - deliberował Dąbrowski. - Nasi sojusznicy...

- Guzik tam nasi sojusznicy. Nasi sojusznicy boją się, żebyśmy czymkolwiek nie sprowokowali marynarzy ze „Schleswiga”. Wicek dzwonił i nas ostrzegał raz jeszcze.

Zamiast podnosić krzyk na całą Europę, protestować w Lidze Narodów, w ogóle gdziekolwiek się da, przeciwko wpuszczeniu tego pancernego potwora do Gdańska, oni nas ostrzegają, żeby go broń Panie Boże czymkolwiek nie sprowokować. - Major zrobił teraz dłuższą przerwę, wypuszczał dym nosem, chrząkał.

- Jeżeli ktoś przywozi sobie tyle dział, to po to, aby z nich strzelać. I może zacząć strzelać w każdej chwili.

Poprosiłem cię, Kuba, bo chcę zarządzić ostre pogotowie.

Dąbrowski był zaskoczony po raz trzeci. Ale wywodom komendanta nie mógł przeciwstawić poważniejszych racji.

Istotnie, jeżeli istnieje możliwość ataku, to trzeba być przygotowanym.

- Myślę, że powinno być to pogotowie nie do wykrycia z zewnątrz, żeby nikt nam nie zarzucił jakiejś prowokacji...

- I ty to samo... Ale masz rację, Kuba. Wprowadzimy je o zmroku, tylko bez zaciemnienia. Chcę, żeby amunicja i broń były przygotowane do rozdania według pełnych etatów. Spanie w mundurach jednej trzeciej załogi, reszta na pozycjach.

Z wartowni numer dwa od rana już obserwowano wody zatoki, oczekując przybycia pancernika. Major siedział w gabinecie jakby zawiedziony, że jeszcze go nie ma. Kuba przekonany, że wkrótce nadpłynie. Telefon od mata Bartoszaka skończył przydługi okres oczekiwania.

- Panie majorze, melduję, że na horyzoncie pięć jednostek pływających. Jeden duży pancernik i cztery kontrtorpedowce.

- Tak jest: zaraz tam idę.

- I jeszcze cztery kontrtorpedowce?! Czy ten Bartoszak się nie myli?

Wkrótce mieli już w szklach swoich lornetek sylwetki tych okrętów.

- A więc to tak - powiedział bezbarwnie Sucharski.

- Jak wejdą na nasze wody terytorialne, to z Helu dostaną ogień - twierdził z najgłębszym przekonaniem mat Rygielski.

Kuba już wyobrażał sobie, że zaraz zarządzą alarm załogi, tak zahipnotyzowało go poranne przemówienie majora przy kawie, owo: "Nie wiercie koniowi". Ale oto widzi, że cztery mniejsze okręty, które płynęły jakby w eskorcie tego pancernego kolosa, robią nagle zwrot i oddalają się na zachód. Z kanału tymczasem wyszły dwa małe ustrojone galowo holowniki gdańskie, aby wprowadzić "Schleswiga" do portu.

Ze wzgórzka nad kanałem - gdzie wykopane były i zamaskowane na dzień rowy placówki "Przystań" Kręgielskiego - obserwowali dalszy ciąg przedstawienia. Na wysokich elewatorach zbożowych wywieszono czerwone flagi ze swastyką w białym kółku, których nie marszczył nawet najmniejszy podmuch. Na nabrzeżu oliwskim po drugiej stronie kanału stały grupki ludzi, przybyłych lub spędzonych na powitanie pancernika. Wznosili nieskoordynowane okrzyki.

Holowniki wyglądały przy "Schleswigu" jak kaczki przy hipopotamie. Żelazna masa pancernika wznosiła się wysoko nad poziom wody jak potężna góra, najeżona armatami i masztami.

Dwa wielkie kominy dymiły ledwie dostrzegalną smugą. Na głównym maszcie pionowo ustawione oczy: dwa wielkie reflektory, jeden nad drugim. Woda poruszyła się w kanale gwałtownie. "Schleswig" swoją ciężką masą kroił ją na pół i odrzucał na boki. Wielkie fale za jego burtą uderzały o brzegi i zaplątawszy się w pale nabrzeża wydawały odgłos potężnego cmoknięcia.

- Dwa razy po dwie kolubryny - liczył Kuba armaty. - Po pięć mniejszych armat z każdej burty. I szybkostrzelne cztery, przeciwlotnicze.

Na licznych pokładach, wznoszących się jedne nad drugimi, stali marynarze i kadeci, zachowanie ich wydawało się całkiem normalne. Ani nachalnie nie przyglądali się przez lornetki terenowi Westerplatte, ani nie stali ciżbą przy lewej burcie... Wyglądało to tak, jakby wielka kamienica na tle wysokich budowli Ankra i Prowego przesuwiała się cudownym sposobem w stronę Zakrętu Pięciu Gwizdków. Dwie połyskujące lufy grubych dział nad dziobem, dwóch nad rufą, przyciągały oczy obserwatorów. Kilka anemicznych okrzyków po drugiej stronie kanału przebrzmiało i pancernik popłynął do Gdańska, gdzie miały odbyć się uroczystości powitania.

Jeszcze przed obiadem omówili dokładnie z Sucharskim wyprawę ich fiata, półciężarówkę, po broń i amunicję do Gdańska. Gawlicki wcale nie miał zastrzeżeń, i zdaje się jego konstrukcji psychicznej bardzo odpowiadało wszelkie ryzyko.

- Pojedzie się, panie majorze, nie ma sprawy. Pojedzie się... A Czy Dejk powinien ze mną jechać? Czy ja wiem? Niech w niedzielę sobie pobędzie w domu, choć rodzinę z Gdańska już wysłał.

Ponieważ major upierał się, że ekipa powinna składać się z podoficerów zawodowych, przygotowanych na wszystko, bo także i na napaść czynną, więc Gawlicki się zgodził i na Dejka.

Po obiedzie, już dość późnym popołudniem, wpadł swoim oplem podpułkownik Sobociński. Z początku był nieco zziębnięty, otarł nawet skronie z potu, ale uśmiechnięty.

Rozsiadł się w gabinecie Sucharskiego i wielkie ręce przerzucił przez boczne oparcia fotela klubowego.

- Wyobraźcie sobie, zachowują się niezwykle elegancko.

Kapitan "Schleswiga" był u nas w Komisariacie z wizytą kurtuazyjną u ministra Chodackiego. Galowy mundur, kordzik przy boku, bieluśka koszula... Ugrzeczniony, jakby naprawdę miał dobrą kindersztubę...

- Coś takiego - mruknął nastroszony od razu Sucharski. - A ja boję się konia trojańskiego! Rozumiesz mnie, to przecież koń trojański! Jak mogliście się na to zgodzić!

- Jak mogliśmy? Francja i Anglia nie widziały w tym niczego złego, wręcz przeciwnie, przestrzegały nas przed zbyt gwałtownymi krokami wobec tej wizyty...

- Francja i Anglia zamiast Polsce pomagać, pchają nas w tę niebezpieczną zabawę z pancernikiem. A ja mam podczas tej zabawy oberwać...

- Uspokój się, Henryku - Sobociński przywdział jeden ze swoich najsympatyczniejszych uśmiechów. - Oni naprawdę nie mają amunicji i komendant powiedział, że jutro pokaże ministrowi Chodackiemu cały okręt! Przeceniacie niebezpieczeństwo. I chciałem was prosić o jedno: kiedy pancernik stanie w pobliżu, żebyś zdjął zewnętrzne warty.

Tak, aby nie było możliwości żadnej prowokacji z obu stron.

- Co to znaczy "stanie w pobliżu"?

- Bo oni go na noc chcą postawić naprzeciwko was, po drugiej stronie kanału.

- I tak przypadkowo wybrali właśnie to miejsce? - szydził dalej Sucharski.

Około godziny siedemnastej "Schleswig-Holstein" w asyście owych dwóch udekorowanych uroczyste holowników pojawił się na Zakręcie Pięciu Gwizdków. Operacja cumowania przy nabrzeżu oliwskim odbyła się sprawnie. Czujki ukryte w krzakach i podsłuchy nie próżnowały, a major otrzymywał od nich wiadomości, że teren Westerplatte jest z masztów i wysokich punktów pancernika obserwowany i kontrolowany.

Major poczuł się utwierdzony w swoich podejrzeniach i popatrywał na Kubę, jakby chciał powiedzieć: a widzisz, jaka to kurtuazyjna wizyta?! Dąbrowski też zaczął myśleć inaczej, dotąd bowiem w te podparte łaciną staroświeckie racje Sucharskiego nie wierzył. Nie dopuszczał do siebie myśli, aby historia powtarzała się tak głupio, a już zupełnie odrzucał możliwość sięgania sobie, ot tak, po chwyty dowódców sprzed kilku tysięcy lat, nawet jeśli ich autorem był taki mistrz forteli jak sławny Odyseusz z Itaki.

Sobociński zupełnie uspokoił się, bowiem major wydał rozkaz zdjęcia wart zewnętrznych. Rozprężony, zadowolony, że część misji wykonał i prowokacji nie będzie, stanął nad siedzącymi przy biurku oficerami w pozie jakby uroczystej.

- Mam dla was niezwykle ważną wiadomość. I z tym właściwie do was przyjechałem. Wódz Naczelny dziś rano wydał rozkaz postawienia na granicy Wolnego Miasta korpusu wojska.

Objął dokładnie, że korpus ten składa się z dwóch dywizji i jednej brygady kawalerii, co Sucharskiemu już się nie podobało, bo dotychczas zapewniano ich o sukursie w sile sześciu dywizji, ale zamilczał. Rozkazy dyslokacji jednostek zostały wydane. Mają wyznaczone dokładne cele strategiczne, ich interesuje 27 Dywizja Piechoty, która w razie czego atakować będzie przez Wrzeszcz w kierunku na Nowy Port.

Dowódcą korpusu został generał Skwarczyński.

- W razie czego - przyjdą wam z pomocą. Musicie tylko czekać na nich sześć godzin, zgodnie z planem.

Z miną niemal triumfalną lokował się za kierownicą swego samochodu, Żegnany jak zawsze sympatycznie przez przyjaciół.

Kuba podniósł w górę swój zadarty podbródek, jakby chciał majorowi powiedzieć teraz "a widzisz?!" Tymczasem Sucharski nie poweselał, nie rozczmuchał się, dalej był skupiony i poważny. Przed kolacją wydał dyspozycje chorążemu Pełce:

- Zwoła pan odprawę oficerów i podoficerów zawodowych na siódmą wieczór. Ogłaszam ostre pogotowie.

2

Przez całą noc "Schleswig-Holstein" stał po drugiej stronie kanału z wygaszonymi światłami. Mdłe niebieskie lampki przeciwlotnicze nie pozwalały na obserwację tego, co dzieje się na okręcie, a coś się działo, żołnierze z wartowni numer dwa, naprzeciwko której zatrzymał się okręt, słyszeli nawet całkiem dobrze prowadzone między marynarzami rozmowy. Późnym wieczorem wszystko ucichło. A następnego dnia jakby w ogóle przestano interesować się Westerplatte.

Żadnych lornetek, żadnych przyrządów, pomiarów, rysowania...

Pomimo takich meldunków major pozostawał niewzruszony.

Kuba podśmiewał się, że Sucharski potrzebuje bardzo dużo czasu, aby z faktów wyciągnąć właściwe wnioski, a Grodecki mu wtórował. W ogóle ta dwójka bridżowa stanęła teraz jak najbliżej siebie i każdy krok czy polecenie majora komentowała z zapalem i satysfakcją łoży szyderców.

Pokazywali sobie "Schleswiga" i nazywali go "osłem trojańskim" w przypiływie dobrego humoru. Okręt cumował w tym samym miejscu jeszcze przez całą sobotę. Komisariat w Gdańsku, indagowany przez majora, przekazał nową informację:

- Mają uszkodzony kocioł. Jutro przeholują ich w rejon stoczni do naprawy.

Sucharski pod pozorem, że ktoś podsłuchuje, krótko zakończył telefoniczny dialog z Sobocińskim. Kuba uważał, że major ostatnio jakby stracił zaufanie do opinii wypowiedzianych przez swego zwierzchnika.

W niedzielę po mszy świętej, którą odprawił w kaplicy ksiądz Mużalewski, przy niezmiennej asyście plutonowego Budera w charakterze ministranta, "Schleswig-Holstein" ruszył powoli w stronę Zakrętu Pięciu Gwizdków i wkrótce zniknął. Ksiądz Mużalewski, który zastępował ich kapelana, księdza Bemke, powiedział nawet przy jajecznicy:

- Cieszę się, że panowie oficerowie jak ich żołnierze są pogodni i spokojni.

Atmosferę napięcia jednak rozładował zdecydowanie szczęśliwy powrót Gawlickiego, który ciężarówką z Gdańska przywiózł tego dnia nad ranem broń, maski gazowe, amunicję i drut kolczasty na zasieki. Bagaż ładowali w nocy z Dejkiem, bo w dzień podwórko Komisariatu Rządu było obserwowane z różnych punktów przez Niemców. Dopiero gdy zrobiło się ciemno, zdjęli buty, żeby nie hałasować po betonie, i ładowali skrzynie boso i po omacku. Otwarli bramę wjazdową na ulicę Neugarten, gdy było jeszcze szarawo, i wtedy Gawlicki spostrzegł, że w poprzek wyjazdu wykopany jest rów.

Wjechał więc zgrabnie na chodnik, zakręcił, na jezdni dodał zdecydowanie gazu. Dejk trzymał cały czas w ręku visa.

Policjant jakoś ich nie zatrzymał za jazdę po chodniku.

Miasto spało, termin był szczęśliwie wybrany: dotarli na Westerplatte bez większych przeszkód.

Wiadomości o sytuacji w Gdańsku przywiezione przez Gawlickiego były krzepiące i major przestał nawet powtarzać swoje ostrzeżenia odnośnie pancernego konia. Choć aresztowano ostatnio wielu Polaków, ale prawie wszystkich zaraz wypuszczono. Najgłośniejszym stało się zatrzymanie polskich szefów ekipy pilotów portowych, komandorów Zdeba i Ziółkowskiego. Zwolniono ich wkrótce, przepraszając, że nastąpiła omyłka. Tak samo zwolniony został szef Inspektoratu Ceł w Gdańsku, pan Biegański, i adiunkt kolejowy, Grabski.

Major mimo wszystkich pomyślnych wiadomości o odwołaniu pogotowia ani myślał, choć Kuba coś na ten temat napomykał.

- Nie dajmy się zwieść jak Trojanie - powiedział patetycznie. A żeby było przyziemnie, zaproponował:

- Będziemy w nocy czuwać na zmianę. Myślę, że wstawimy także i dla ciebie łóżko do mojego gabinetu.

Wieczorem słuchali razem radia i komentarzy na temat podpisanego w dniu 25 sierpnia polsko-angielskiego wojskowego sojuszu.

- Teraz rozumiem. Coś się zmieniło nagle po podpisaniu tego sojuszu w postępowaniu Hitlera. Może rzeczywiście wystraszył się - rozważał głośno Dąbrowski.

- Będziesz uważał, że jestem uparty. Moim zdaniem sprawy zaszły za daleko. Powtarzam: bójcie się konia.

Major wydał mu się wtedy nudny ze swoim uporem. Nazywał to trochę pogardliwie chłopskim uporem, uważał, że major nie liczy się z faktami. Kuba był już rozdrażniony, ale i przewrażliwiony.

- Dlaczego tak uważasz? Czy podpisanie paktu o nieagresji między Niemcami i Związkiem Sowieckim wydaje ci się ważniejsze?

- Tak, na pewno. Bo oba te kraje sąsiadują z nami, a Anglia jest daleko.

Ta chłopska logika, oparta na wyciąganiu prostych wniosków, znów się nie spodobała Kubie, ale zmilczał. Major natomiast oświadczył niespodziewanie:

- Nie powinniśmy się za bardzo zajmować tym, co robią politycy. Naszą rzeczą jest walczyć za ojczyznę. A polityków

- tak pokierować sprawami, by nasza krew nie szła na marne.

- Ty już mówisz o krwi?

- Ona się wkrótce poleje, zobaczysz, Kuba.

W milczeniu palili papierosy, w otwartym oknie stała oparta o morze przejrzysta noc księżycowa, piękna, bo w falach błyskały gwiazdy. Radio krzepiło serca: Francja powołała pod broń trzy miliony żołnierzy! Melodię "Madelon" puszczano tego wieczora ze trzy razy.

- Widzisz, jaka jest ta "Madelon", nasza sojuszniczka?

Jak dotąd Niemcy nas szczypią, ją klepią, a ona nic - szydził major. Kuba natomiast pragnął rozwiązać dylemat, który trapił go od dawna. Jego i pół załogi.

- Słuchaj, dobrze byłoby cofnąć karę plutonowemu Baranowi. Wymazać z akt i kropka. To nasz najlepszy cekaemista, wiem to z ćwiczeń w Wejherowie. Nie masz pojęcia, jak strzela. Byłoby dobrze mu powiedzieć, że karę ma zamazaną...

- Wrócimy do tej sprawy jutro. Już późno. Dziś ty czuwasz!

Czwartek, 31 sierpnia 1939.

MACIE WYTRWAĆ PRZEZ DWANAŚCIE GODZIN

1

Sucharski szedł do koszar z willi oficerskiej powoli, chłonał wzrokiem piękno wczesnej jesieni. Klomb astrów jakby trochę rachityczny, ale kolorowy, na dalekich brzożach już żółte liście, leżało ich nawet sporo na alejce. Szedł bardzo powoli, dotkliwie czuł, że ma buty na nogach. To od niewyspania, od tego ostrego pogotowia, które sam zarządził przed kilku dniami. Cały ogarnięty marzeniem zdjęcia butów chciał teraz na chwilę wyciągnąć się na łóżku w gabinecie, bez ciągłego myślenia o zachowaniu ostrożności, nieprovokowaniu przeciwnika, czujności i tym podobnych sprawach. Dochodził właśnie do koszar, gdy usłyszał wyraźnie melodię piłowania drzewa. Monotonne: ryryry - rrrr, gdzieś w stronie elektrowni.

Kto, do cholery, w biały dzień piłuje? Pewnie gałęzie, to ten nowy kapral artylerii z Białegostoku. Normalnie zatelefonowałby z mieszkania do podoficera dyżurnego, ale

niewyspanie i zmęczenie spowodowały, że znalazł się na granicy wytrzymałości nerwowej. Zawrócił na pięcie, zapomniał o spuchniętych nogach w uwierających oficerkach i szybkim krokiem pognął w stronę elektrowni. To tutaj ścinali gałęzie drzew, miał rację, niedaleko stanowiska, które przygotowano dla ich jedynej armaty z carskiego demobilu.

Grabowski miał pocziwą szeroką twarz i blond fale nad czołem, a przejawiał zapobiegliwość i solidność mazowieckiego włościanina. Skonfundował się widokiem majora.

- Był rozkaz, żeby piłować tylko w nocy?! - spytał go major.

- Tak jest, panie majorze. Tylko że pogubiliśmy się i ścięli nie te, co trzeba. Taka robota w nocy to do diabła. I takie działo, co strzela prostym torem, cholera na nie...

- A jakim torem wam trzeba strzelać? - powiedział pojednawczo, bo przypomniał sobie o nieprzyjemnej aferze z plutonowym Baranem i nie chciał dla drugiego podoficera być nazbyt srogim.

- A haubica by się tu nadała, obeszloby się bez ścinania gałęzi.

- Naznaczcie sobie dobrze i dokończcie w nocy.

Oni inaczej zrobią donos do Senatu w Gdańsku, że niszczymy drzewostan.

- Tak jest, panie majorze. Że też nie można przestrzelać tej Lafiryndy... Czy ja wiem, czy ona nie rozleci się po pierwszym strzale? - powtarzał Grabowski na nowo swoje zastrzeżenia.

- Przekonacie się dopiero już jak będzie wojna... - powiedział major wolno. I jakby dla ostrożności swego sądu dodał: - A jak wojny nie będzie, to się nie przekonacie.

Wreszcie zmęczony i zdenerwowany znalazł się w swoim mieszkaniu. Stękając zdjął sobie sam oficerki, narzekając w duchu na brak ordynansa. Z ogromną ulgą położył się wreszcie, aby chwilę odpocząć. Wziął sobie do łóżka gazety i przebiegał wzrokiem po tytułach. Gdańscy szturmowcy porwali rodzinę rybaków z Polski. Terror wobec Polaków w Gdańsku. Ze stoczni wypędzono polskich robotników, wielu pobito i raniono. Komandor Zdeb ponownie aresztowany, minister Chodacki energicznie zaprotestował. Nie przyjął też zaproszenia na śniadanie z marynarzami z pancernika, które wydawał Senat Wolnego Miasta, ale tylko dlatego, że podpisano je "Senat Wolnego Państwa Gdańsk". Drobną subtelną w języku niemieckim, zamiast "Freie Stadt" - „Freie Staat”. Oczy majorowi dziwnie kleiły się i niespodziewanie coraz bardziej ogarniała go senność.

Obudził go chrzęst żwiru pod oponami samochodu, bo hamowanie i szarpnięcie tuż pod otwartym oknem usłyszał już wyraźnie. Po chwili w drzwiach stała potężna figura Wicka Sobocińskiego w olśniewająco eleganckim wizytowym garniturze. Biała koszula, jedwabny

krawat, sztuczkowe spodnie, czarny surdut... Lakierki, na nogach lakierki numer czterdzieści sześć czy czterdzieści siedem.

- Cześć, przedarłem się tutaj cudem na imieniny komendanta... - uśmiechał się w drzwiach. Sucharski plątał się w troczkach od bryczesów nieporadnie, zaprosił gościa do środka i wzuwał gwałtownie oficerki. Milczał.

- Przedarłem się przez zgrupowanie SS Heimwehry. Jest ich w Wisłoujściu na kopy. Jak się zapytali, dokąd jadę i po co, to powiedziałem, że na imieniny komendanta Westerplatte.

Wyobraź sobie, że puścili.

- Myślałem, że to wizyta kurtuazyjna na pokładzie krążownika spowodowała, że wpadłeś tu na chwilę... - Sucharski zyskiwał przewagę nad gościem.

- Otóż nie, Henryczku, otóż ja tym razem specjalnie do ciebie, w odwiedzin.

Usiadł w głębokim fotelu i wystawił przed siebie lakiery, te monstrualnie wielkie, pewnie robione na specjalne zamówienie. Zawsze mówił, że na takich nogach stoi się niezwykle pewnie. Teraz kręcić się zaczynał w tym fotelu, jakby go uwierało owo eleganckie ubranie. Major wyczuwał, że wizyta podpułkownika Sobocińskiego spowodowana jest jakimiś specjalnymi względami, o których zapewne wkrótce usłyszy. Tupiąc butami Sucharski podszedł do okna, zdjął trzy żółtawe listki z parapetu i zamknął kwatery, bo wiatr wydymał firankę.

- Cieszę się, że jesteś - powiedział. Nie było to wyznanie grzesznościowe, Sobociński to sympatyczny chłop i bardzo mile zawsze na Westerplatte witany. - Powiedz, co z małżonką?

- A, dzwoniła z Warszawy. W stolicy jakby spokojniej, nie mówi się o wojnie, raczej o zabiegach dyplomatycznych.

Kazała was wszystkich pozdrowić.

Sucharski wyjął z kieszeni kalendarzyk, wertował go i powiedział:

- 31 sierpnia. Rajmunda. Mogę być Rajmundem, ale tylko dla ciebie.

- A więc słuchaj, Rajmundzie. Sytuacja jest wyjątkowo parszywa, nie będę przed tobą ukrywał. W Gdańsku rekwirują nasze pociągi towarowe, nie przepuszczają. Osobowe już chodzą do Gdyni tylko przez Kościerzynę. Radca Arlet był w Orłowie, gdy wracał wczoraj, to go nasze wojska już nie przepuściły. Musiał jechać dookoła, na Tczew. Droga przez Gdańsk zamknięta.

Sucharski siedział i milczał, wpatrzony w buty Sobocińskiego. Jakoś zupełnie inny był ten Sobociński i jakby trochę nieprzyjemny. Czuć było od niego pot i przykry zapach dymu

papierosowego, którym przesiąknięte było całe jego eleganckie ubranie. Przesiedział zapewne w nim dłużej na jakiejś konferencji, na której niemiłosiernie kurzono papierosy.

- Mobilizacja w toku? Przebiega sprawnie?

- Oczywiście. Już nikt jej teraz nie odwoła. Zanosi się na wojnę. Nie na zajmowanie Gdańska, na jakiś pucz. Na wojnę polsko-niemiecką. Anglia i Francja stoją za nami, Hitler dostanie za swoje, wkrótce to zobaczymy! - cieszył się jakby Wicek i dodawał sobie animuszu.

Ordynans Kita przyprowadził ze spaceru psy.

- Józus, przyniesiesz kawy z kasyna. Ale na jednej nodze!

- Tak jest, panie majorze!

Zniknął szybko. Psy położyły się w kącie na legowisku i major zdziwił się, że Beza nie okazuje radości na widok swego dawnego pana.

- Beza, Bezunia, a chodźże tu... - przemawiał Wicek, więc pies niechętnie zwlekł się, podszedł, pomerdał kikutem obciętego ogonka i wrócił do Erosa, który patrzył zupełnie obojętnie z mordą jakby w białych okularach.

- Nasze MSZ staje na głowie, aby to wszystko wyhamować, ale chyba za daleko już zaszło. Niemieckie dywizje stoją na granicy w pełnej gotowości. To wiadomość od naszego wywiadu, więc tajemnica. Ale chciałem powierzyć ci jeszcze jedną tajemnicę, dasz mi oficerskie słowo, że ani pary z ust.

Major kiwnął głową.

- Wojna, a nie pucz gdański. Sytuacja ulega zmianie.

Dziś rano Naczelny Wódz wydał rozkaz wycofania korpusu generała Skwarczyńskiego na południe. Boi się, aby w przypadku wojny nie został odcięty. Rozumiesz, co to dla ciebie oznacza?!

Sucharski pomyślał sobie o Naczelnym Wodzu bardzo źle, coś się w nim nagle odezwało prostacko w środku "a to łysy skurwysyn", jednak do Sobocińskiego odezwał się:

- Wiem, co to oznacza dla Westerplatte. Nikt nie przyjdzie mi z odsieczą.

- Co to znaczy nikt? Nie mów od razu, że nikt. Pozostaje Gdynia, Hel i Marynarka Wojenna. Po prostu przyjęto inny wariant...

Myślał sobie dalej, że niepotrzebnie Sobociński się wysila. Sucharski ma dokładnie obliczone odległości z Orłowa do Westerplatte i wie, że artyleria stamtąd nie doniesie.

Wie także, że siły tam zgromadzone są za szczupłe, aby jego załogę zamkniętą na półwyspie oswobodzić.

- Drogi Wicku, bardzo cię lubię i cenię - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale nie opowiadaj mi bajeczek dla małych dzieci. Nikt mi nie pomoże. Chyba że flota angielska wpłynie na Bałtyk.

- Widzisz, to jest przecież możliwe - kontynuował Sobociński. - I rozkaz Wodza Naczelnego: macie wytrwać dwanaście godzin. Jeżeli do tego czasu nie otrzymacie pomocy - decyzja należy do was. Możecie kapitulować.

- Nie bardzo rozumiem, panie pułkowniku. To o co my właściwie mamy walczyć?

- O żołnierski honor i o polski Gdańsk - wyrecytował Sobociński i uznał zaraz, że wypadło to patetycznie. Nie w jego stylu. Uśmiechnął się więc od ucha do ucha swoim najsympatyczniejszym z uśmiechów. - Co ja ci będę frazesy opowiadał. Za dobrze się znamy. Wiem, że w kaszy nie dasz się zjeść. Tylko dwanaście godzin, zamiast sześciu. To prześlemy oficerom i załodze.

Gdy szli na kolację, przed kasynem pojawił się Dąbrowski.

- A cześć, Kuba - serdecznie witał się z daleka Sobociński.

- Czołem, panie pułkowniku. A ty na raut czy na pogrzeb w tym ubranku? - skrzywił się Kuba.

- Na pogrzeb miesiąca sierpnia. Mamy dziś jego ostatni dzień.

Sucharski pomyślał wtedy, że ten Wicek to diablo inteligentna i błyskotliwa bestia. Kuba kazał podać jarzębiak, major nie protestował. Oficerowie przybyli w komplecie, ale atmosfera z początku panowała niemrawa.

Sobociński opowiadał dla rozruszania swój stary dowcip o papudze, którą generał Wieniawa kupił w burdelu na Chmielnej. Papuga znała wszystkie rangi i każdego witała odpowiednim stopniem wojskowym, rozróżniała nawet generałów brygady, dywizji i broni. Ale gdy pojawił się generał Kordian Zamorski w mundurze granatowym, jako komendant policji, papuga wrzasnęła: "Uciekać, kurwy, policja".

Wszyscy śmiali się, nalano do kieliszków, ale major widział wyraźnie, że Sobociński gra, jego uśmiech w trudno uchwytnym momencie, gdy twarz wracała do normalnej powagi, przemieniał się na chwilę w jakiś skurcz, nienaturalne skrzywienie.

Powiedział wreszcie o przygotowaniach wojennych w Gdańsku, o bateriach dział na przedmieściach, o Heimwehrze, która zebrała się tłumnie koło twierdzy Wisłoujścia.

- Wojska niemieckiego nie ma?

- Niechby no spróbowali, to dostaliby nauczkę! Nie wolno im łamać traktatów. Ani jeden żołnierz Wehrmachtu nie przekroczył dotąd oficjalnie granicy Wolnego Miasta, chyba

że w przebraniu - recytował Sobociński. - A gdyby oni zechcieli wkroczyć, to spotkają się ze zdecydowaną odpowiedzią...

Nagle zamilkł, bo przypomniał sobie widocznie o wycofaniu korpusu Skwarczyńskiego. Nie ma kto im zbrojnie odpowiedzieć, niestety.

- Nie dajcie tylko się zaskoczyć, nie dajcie się! Macie wytrwać dwanaście godzin.

Powtarzał to zdanie o zaskoczeniu chyba jeszcze ze dwa razy w różnych wariantach, z czego Sucharski wnioskował, że to może wybuchnąć już, za chwilę, w nocy, rano... Że wybuchnie, i że nie wolno im tego momentu przespać.

- No, mamy przecież ostre pogotowie załogi. Nie ma mowy, żeby nas ktoś zaskoczył - powiedział Kuba, jakby nieco urażony.

- Jeżeli wytrzymacie dwanaście godzin, to później, gdy losy na to pozwolą, ozłocimy całą załogę - zapewniał gorliwie. Potem zupełnie niespodziewanie zaproponował brudzia Kręgielskiemu.

- Ze wszystkimi oficerami tutaj jestem na ty, tylko z tobą nie. Wypijmy brudzia, Mały. Wszyscy jesteśmy w jednej rodzinie i musimy się wzajemnie wspierać.

Pod koniec kolacji Sobociński zaciągnął na chwilę Kręgielskiego do osobnego pokoju. Kuba pytał potem Małego, o co chodziło. Mały wyznał, że pułkownik wziął od niego adres matki, na wszelki wypadek. Było jeszcze widno, gdy ciemnogrnatowy opel pojechał do Gdańska, a Sucharski miał niejasne wrażenie, że to jest ostatnia wizyta Wicka na Westerplatte. Na pięć minut przed dwunastą. Tylko kiedy ta dwunasta nastąpi? Nerwy już wszyscy mają napięte do ostateczności, w powietrzu czuć elektryczność, to musi eksplodować, musi...

Wieczorem morze było wyjątkowo spokojne. Jakby zastygło pomiędzy przyływem i odpływem, gładka tafla bez zmarszczki, tylko nad plażą hałasowały mewy.

Zapadał już mrok, gdy Dąbrowski wrócił z obchodu wartowni. Zajrzał do majora.

- Słuchaj, wszystkie statki handlowe wyszły z portu.

Zobacz, jaki tłok na redzie!

Podeszli do okna, widok był piękny. Na spokojnej wodzie zatoki, w gasnącej poświacie dnia ustawiły się sylwetki statków jak na przeglądzie. Konwój płynie, jeden za drugim.

Kanał jest pusty. Żołnierze na "dwójce" mówili, że w porcie szykują drogę dla "Schleswiga", bo będzie odpływał.

- Myślę, że to objaw zastosowania środków ostrożności - powiedział major i pomyślał, że zapewne zaraz się zaczną i trzeba być czujnym. Aha, tak jak powiedział kilka razy

Sobociński: nie dać się zaskoczyć. - Musimy wzmóc czujność, obserwację. Częściej trzeba wysłać ronty. Przypilnuj tego!

Było już ciemno, gdy usiadł, aby napisać list do rodziny. Kto wie, czy nie ostatni przed wojną? A może już w ogóle nie zdąży?. jutro, holownik zabierze list do Gdyni i nadadzą go na pocztę. Postawił więc z namaszczeniem datę dnia następnego: Westerplatte, dn. 1 IX 1939 roku. Głupio by było: inna data na liście, a inna na pieczętce pocztowej.

„Moi kochani!

Znalazłem trochę czasu, mimo że mam go niewiele, by skreślić do Was parę słów. Zacznę od siebie. Jestem zdrow tak jak i wszyscy moi podkomendni...”

Z tym to może niezupełnie tak, bo podporucznik Pająk akurat ma grypę, wrócił z Kielc, gdzie się ożenił, ale to nie należy do sprawy. Wierny starodawnej wiejskiej konwencji pisania listów zaczął jednak od zdrowia. Z własnym zdrowiem też nie najlepiej, bo boli go często dwunastnica, pewnie dlatego, że ma się już pod jesień albo jakoś źle gotują w kasynie, mało dietetycznie, ale po co ma ich martwić w Gręboszowie? I tak się namartwili niemało, siostrę dopiero co pochowali.

„Przypuszczam, że zostałeś, Hanuś, tylko z Basią i Mamusią. Wiem, że Wam ciężko. Tym bardziej jeśli i Stasiak poszedł. Ale koniecznie musicie sobie poradzić, a sąsiedzi Wam pomogą...” Tu zastanowił się, bo zabrzmiało to groźnie, więc postanowił to złagodzić. ”Wojny jeszcze nie ma. Znosi się na nią, ale czy wybuchnie, to jeszcze nie wiadomo. Jeśli jednak będzie, to przecież na pewno i Wy dobrze o tym wiecie, że bić się i wygrać ją musimy, a po niej - da Bóg - doczekamy się dopiero na pewno spokojnych czasów”. Nie za bardzo to złagodził. Niech jednak będą przygotowane na to najgorsze; potem powiedzą, że brat im oczy mydlił.

„A teraz wszyscy musimy jak najlepiej spełnić swój obowiązek. My tu i wy tam. I tak będzie najlepiej. Więc bądźcie spokojne, tak jak na dobre Polki przystało...”

Z tym odwołaniem się do babskiego patriotyzmu to może i nie najlepiej wyszło, ale nie miał ochoty już niczego zmieniać. Tym bardziej że niepokoiła go cisza w kanale portowym, martwa cisza, która na morzu zwiastuje nadchodzącą burzę. Zamarły dźwigi, ucichły nawoływania dokerów, nikt niczego nie ładuje, nie wyładowuje, nie ma ani jednego statku.

Gdy szedł szybkim krokiem z dyżurnym do koszar, aby obdzwonić wartownie, na tarasie kasyna podoficerskiego siedzieli jeszcze przy stoliku zawiadowca stacji Najsarek, radiotelegrafista Rasiński, ogniomistrz Piotrowski i chorąży Szewczuk. Stoliki seniorów,

wszyscy wiekiem starsi od niego, może z wyjątkiem Rasińskiego, wszyscy odbyli I wojnę światową w okopach. Trwała zażarta dyskusja między nimi, dostrzegł to kątem oka.

Oni nie wiedzą, że zostaliśmy na półwyspie sami, osamotnieni i pozostawieni wrogom na rozgromienie. Bo skąd mają wiedzieć? Ta wiadomość tylko jemu została przekazana, aby ciążył jak kamień i nie pozwalać na zmrużenie oka. Jaką dano im szansę na przeżycie? Dwanaście godzin pod artylerią tego kolosa, "Schleswiga-Holsteina"? Dlaczego tyle im wyznaczono? Dla samej demonstracji politycznej, że Polska posiada prawa do Gdańska? Francuzi nie chcą umierać za Gdańsk, ale oni, żołnierze z Westerplatte, muszą.

Jakie poniosą straty? Kiedy będą kapitulować, w jakich warunkach?

Nie potrafił sobie tego wszystkiego wyobrazić. Nagle dziś po południu uświadomił sobie, że jest komendantem straconej placówki. Że ów napis na pudełku papierosów, które zrzucono jeszcze w lipcu z pokładu okrętu "Wilia" brzmiał prawdziwie. Są załogą śmierci, załogą skazaną. Wicek Sobociński w wizytowym ubraniu wiercił się i kręcił, zdawał sobie sprawę, że przekazuje nie tylko rozkaz Wodza Naczelnego. Wiedział dobrze, że to wyrok na obrońców Westerplatte. Dobrze to jest powiedzieć: walczcie samotni, nikt wam nie przyjdzie z pomocą, nie macie żadnej nadziei.

Ta świadomość przyginała Sucharskiego ku ziemi, noszenie tej tajemnicy było tak uciążliwe, że co chwilę powtarzał sobie w duchu najgorsze epitety pod adresem Naczelnego Wodza. Ale nie przynosiło mu to niestety ulgi. W dodatku po głębszym zastanowieniu doszedł do wniosku, że uczyniłby to samo, co Śmigły: wycofałby siły z tej fatalnej szyi wiodącej ku Wybrzeżu, bo tam mogą zostać zmiażdżone przez uderzenie podwójne, z Prus Wschodnich i z Pomorza Zachodniego. To prawidłowe rozumowanie Wodza musi się jednak fatalnie odbić na ich losie. Zdecydowano się więc ich poświęcić. Niech to jasny szlag trafi, będą więc trwać i czekać na to, że ich później ozłocą, jak zapowiadał Wicek. Złotymi napisami na grobach, czymże więcej?

Popatrzył w stronę Zakrętu Pięciu Gwizdków, wielkiego cielska "Schleswiga" stąd nie było widać, świeciły gdzieś nad drzewami niebieskie ciemnawe lampki oświetlenia przeciwlotniczego. U nich, na Westerplatte, wszystko rozjaśnione, kasyno jak ołtarz, lampy na tarasie i ci seniorzy politykujący... O, właśnie idzie do siebie Najsarek, idzie, aby położyć się spać w swoim pokoju na stacji kolejowej.

Noc spędzał major, jak zwykle teraz, w gabinecie, w koszarach. Dąbrowski szamotał się w pokoju obok przy centrali telefonicznej. Czy przeczuwał, że to już tak blisko, że może zacząć się lada chwila? Jest coś, jakiś żołnierski instynkt, który podpowiada podobno przyszłe wydarzenia na kilka godzin naprzód. Czuł, wyraźnie czuł, że to już niedługo.

Otworzył radio i w uszy wpadły mu słowa jakiegoś słuchowiska, w którym dawni rycerze wznosili okrzyki, rozbijali namioty, ruszali do boju... Narrator patetycznym tonem mówił: "I dzisiaj nie osłabła szabla polska nie osłabła w narodzie wola wielkości..."

Odbierał jeszcze telefonicznie meldunki z wartowni, zgłaszał się Kręgielski, który czuwał już z obsadą na placówce "Przystań", chorąży Gryczman z placówki "Prom" w zastępstwie chorego porucznika Pająka. A więc ma wytrwać z nimi w osamotnieniu przez dwanaście godzin.

Wiele to czy niewiele? Jeszcze nie wie, jeszcze tego nie jest w stanie przeczuć.

Prowadząc rozmowy z wartowniami, wypytując o najmniejsze szczegóły, daje świadectwo swego zaangażowania, troskliwości i pieczołowitości dowódcy, ale także chce zagłuszyć to, co odzywa się w nim co chwilę: zostawiliście nas samych. Jakim prawem zostawiliście nas na straconej placówce?!

Około dziesiątej wieczór telefonował jeszcze Wicek.

Słychać było bardzo słabo, obaj krzyczeli. Podsluch niemiecki? Sobociński informował, że Warszawa jest przekonana o odprężeniu w stosunkach między Polską a Niemcami. Dostali wiadomość dziś z MSZ-tu, może wszystko jeszcze się ułoży. Pytali z MSZ-tu, czy w Gdańsku już odczuwa się odprężenie, radca Arlet odbierał telefon i był zdziwiony.

- Jakoś to będzie, Bóg z wami! - darł się z Gdańska Wicek, ale głos jego brzmiał jak z zaświatów. Albo majorowi już się wszystko kojarzyło z tamtą stroną. I to odezwanie się - "Bóg z wami" - odebrał jako błogosławieństwo przed niechybną śmiercią. Położył słuchawkę na aparacie, przeżegnał się nabożnie, powiedział na głos:

- Ale urządził nas ten łysoń!

Po czym słuchał w radio angielskich arii, które śpiewała Ewa Bandrowska-Turska. Dla zmanifestowania więzi, jakie nas łączą z daleką wyspą sojuszników - pomyślał.

Wpadł Kuba, opowiadał coś o wartowniach, o tubach głosowych, że zatkane, nie mógł w pierwszej chwili zrozumieć, ale chodziło o rury głosowe, które łączą wartownie z kabinami bojowymi w piwnicach.

- Właśnie poleciłem Grodeckiemu odetkać. Na wszelki wypadek.

Wybierał się na ront o północy, nerwowo zapalał papierosa. Na pięć minut przed dwunastą stała się rzecz zaskakująca dla nich obu. Spiker podał, że rozgłośnia łączy się z "Cafe Clubem" w Warszawie i nadawać będzie muzykę taneczną. "Życzymy państwu wesołej zabawy". Kuba skoczył i z przesadną siłą zamknął odbiornik.

- Niech ich szlag trafi, tych idiotów! Życzą nam wesołej zabawy! Będzie wkrótce zabawa, że się od śmiechu nie powstrzymamy!

Sucharski milczał. Może rzeczywiście jest jakieś odprężenie, skoro radio łączy się z tym tingel-tanglem i nadaje muzyczkę? Chwytał się tej myśli, ale zaraz ją odrzucał. Po Kubę przyszedł doktor Słaby i razem wyszli.

Major stał w otwartym oknie, twarzą zwrócony do dalekiego morza, na którym nie było ani jednego światła z żadnej strony. Nad Westerplatte rozpościerała się okropna cisza, jaka nie panowała nigdy dotąd nawet o tak późnej porze. Bo nastala pora północy, były zegary po drugiej stronie kanału portowego na wieżach kościołów Nowego Portu.

A było też słycać z daleka, jakby przytłumione, dzwony z samego Gdańska, z ratusza i od świętej Katarzyny...

Noc przysła ciepła, nawet lekki wiatr nie szeleścił w liściach drzew na półwyspie. Telefon. Plutonowy Bieniasz melduje:

- Na latarni morskiej pali się wielkie czerwone światło.

Takiego dotąd nigdy nie było.

- To znaczy, że wjazd dla statków do portu jest zamknięty - powiedział suchym głosem major.

Za chwilę telefonował Gryczman:

- Panie majorze, melduję, że po drugiej stronie kanału wychodzą ludzie z domów. Niosą ze sobą różne węzłki i walizki... Po co o tej porze?

- Niestety, coś się szykuje. Wygląda to na ewakuację ludności.

- Tak też myślałem, dlatego melduję - powiada Gryczman.

Po tym telefonie postanowił sprowadzić z mieszkania psy do koszar. Nie wiadomo, co się wydarzy, tu będą bezpieczne.

Józuś Kita, ordynans, pełni służbę w wartowni numer pięć.

Niech widzą, że komendant nie jest egoistą i nie trzyma w takiej chwili ordynansa przy sobie... Gdy dochodził do ronda przy starych koszarach, zaczepił go jakiś patrol:

- Stój, kto idzie?

- Major Sucharski.

Dowódca patrolu meldował, że w Nowym Porcie podejrzany ruch i że o tej porze jeżdżą jeszcze tramwaje. Podziękował mu. Psy były niesforne i niespokojne, biegały po terenie i nie chciały go słycać. Z trudem doprowadził je do gabinetu.

Po czym wyszedł sam nad kanał posłycać, co się dzieje.

Istotnie, słychać było pisk zakręcających na pętli tramwajów. Trwał tam jakiś ruch. Potem poszedł ku "jedyńce", chorąży Gryczman był czujny jak żuraw, ale też miał dobry wzrok. Poznał go w tej pomroce.

- Panie majorze, żołnierze na stanowiskach, broń naładowana. Za murem chodzą patrole niemieckie.

- Patrole? - Zdziwił się. - Pójdę zobaczyć.

Z Gryczmanem podeszli do muru niedaleko ślepej bramy i chorąży chciał mu pomóc we wdrapaniu się na ruchome schodki.

Lekko odtrącił jego podtrzymującą rękę, by nie użyć głosu.

Istotnie, za murem maszerował niemiecki patrol wojskowy! Gdy oddalili się od muru, powiedział do chorążego, jakby głośno myśląc:

- Widocznie nie wierzą już szupowcom i obstawili nas Heimwehrą...

W duchu przyznawał, że to takie uspokajające tłumaczenie. Ze szkoły Becka, która ich uczyła tylko zachowania spokoju i unikania prowokacji.

Odchodząc spod wartowni powiedział:

- Czuwać z bronią naładowaną. Nad ranem wzmóc czujność, nie dać się zaskoczyć. O wszystkich spostrzeżeniach meldować.

W gabinecie Kuba już lekko pochrapywał. Major wykonał wargami kilka cmoknięć, ktoś mówił mu, że to przerywa chrapanie, ale nie sprawdziło się teraz. Położył się w butach, rozpiął tylko haftki pod szyją. Wydawało mu się, że już-już się zacznie. Zdrzemnął się, nie wiadomo czy we śnie, czy tylko przywołane przez wyobraźnię przyszły mu przed oczy sceny z balu maskowego w Brześciu. Przebrana za białego orła panna Wiktoria tańczy z nim walca, a potem on wręcza jej z polecenia dowódcy pułku nagrodę za najlepszy kostium.

Szeleszczą skrzydła orła, owijają go, zaplątuje się w nie i nic nie widzi.

Piątek, 1 września 1939.

A WIĘC TO JEST TAK...

1

Dąbrowski otworzył oczy, gdy major był już przy telefonie. Zerwał się, usiadł na łóżku, jeszcze dudniło potężne echo. Bardziej stwierdził, niż zapytał:

- Dwa pociski. "Schleswig".

Dzwonek telefonu - ostry, natarczywy. O strzałach meldował podoficer dyżurny, Łopatniuk.

- Tak, słyszę - sucho, prawie drewnianym głosem odpowiedział Sucharski. - Zarządzić alarm załogi!

Następne wybuchy targnęły powietrzem i po nich następne, i jeszcze następne. Kuba patrzył na majora, pochylonego, ale opanowanego, jak dopinał haftki u kołnierza i dociągał pas.

- Nareszcie zaczęło się - wypowiedział te słowa jakby z ulgą Dąbrowski.

Psy kręciły się niespokojnie ze zjeżoną sierścią, w końcu wtuliły się pod łóżko majora. Najwyraźniej bały się huku pocisków, tak jak zawsze kuliły się ze strachu na odgłos grzmotów podczas burzy.

Dzwonki alarmowe rozlegają się nagle, wypełniają całe koszary, ich wysoki, choć jednak niedramatyczny głos wciska się w każdy zakamarek, słysząc je w każdym punkcie. Jakby nawoływały koniec przerwy, zaczyna się lekcja! Skąd to skojarzenie ze szkołą, gdy pociski rwą się nad półwyspem i detonacje kołyszają ziemią, drżą szyby, a korytarzami przebiegają ludzie w mundurach. Zaczyna się lekcja!

- Tak, to wojna - powiedział beznamiętnie Sucharski, jakby chodziło o kupienie paczki papierosów. Był już od kilku dni oswojony z tą myślą, że zaraz się zacznie.

Nagle potężna detonacja gdzieś od strony wschodniej wprawiła w drżenie całe koszary.

Kuba chwycił wtedy za słuchawkę.

- Dajcie placówkę "Prom". Tak, chorąży Gryczman? Jak jest na przedpolu? Już idą?

- Melduję, że mur przed chwilą został wysadzony w powietrze. Plutonowy Baran stał właśnie na schodkach przy murze; wyrzuciło go i spadł między potykacze. Właśnie wraca, na szczęście cały. Caaały...! - wykrzyczał, gdyż ostatnie słowo przytłumił nowy wybuch.

- Jak wejdą na nasz teren, walcie, Gryczman. Tylko celnie!

- Tylko celnie, panie kapitanie!

Dąbrowski wychodzi na korytarz, jeszcze mroczny, bo dzień dopiero wstaje, wychodzi na błyszczące tafle posadzki.

Tupot nóg, żołnierze biegną, podoficerowie krzyczą, niby wszystko idzie tak jak na ćwiczeniach, a jednak wcale nie tak. Cały budynek jest jakby pod prądem, to się udziela.

Która godzina? Za trzysta pięćdziesiąt. Tupot nóg na schodach cichnie, ale za załomem korytarza słysząc głosy, nie wszyscy zbiegli na dół, nie wszyscy poszli na pozycje. I nad tym wszystkim dominującym staje się monotony, szczekliwy głos: tatatatatatata... Będzie on panował niepodzielnie nad półwyspem Westerplatte przez całych siedem dni.

Brzęk tłuczonych szyb w oknach koszar od strony kanału portowego. I jeszcze jakiś dziwny, szklany dźwięk, jakby odezwał się ksylofon. Kuba otwiera drzwi gabinetu lekarskiego: ampułki rozbite kulami, jakieś flaszki w szklanej szafce doktora Słabego. Że też nie zabezpieczyli tego całego kramu. Potem widzi otwarte drzwi łazienki, w której z przestrzelonych rur cieniutkie strugi wody utworzyły fantazyjny wodotrysk. Nikt nie myśli teraz szukać zaworów, zakręcać... Zza załomu korytarza wybiega następna grupa. Kuba widzi, że mają futerały masek gazowych podziurawione od kul nieprzyjacielskich. Uświadamia sobie teraz, że to pracują już karabiny maszynowe po drugiej stronie kanału, na elewatorach zbożowych Ankra i Provego, może i na latarni pilotów. I że tego dźwięku, na który czeka, jeszcze nie ma w tym potwornym skłębionym świetle głosów wojny na Westerplatte. Jeszcze nie odezwały się polskie karabiny maszynowe!

W sypialniach od strony kanału kilku żołnierzy zaległo pod parapetami okien; ostrzał przeszedł spokojnie przez sale, szyb w oknach ani śladu.

- Na stanowiska! Alarm! - woła. - Powstań i na stanowiska!

Jest zdziwiony, że podrywają się i wybiegają na korytarz. Postępuje za nimi, ostatni biegnie Gawlicki, tak, Gawlicki. Przed drzwiami swojej sali stoi ze spodniami w ręku dziadek Szwedowski, murarz "cywilny". W kalesonach i bluzie.

- Panie Gawlicki, panie Gawlicki! - Usiłuje go zatrzymać. - Pomóż mi pan naciągnąć portki. Nogi, cholera, mi zeszywniały od tego huk.

- Połóż się pan na ziemi, to łatwiej będzie portki wciągnąć - powiada Gawlicki i biegnie dalej, z dyndającą maską gazową u boku.

Płaczliwy głos Szwedowskiego pędzi za nim:

- Nogi mi zeszywniały...

Nie uśmiechnął się. W nim też jest ta sztywność, zdrewnienie, napięcie. Czegoś jakby oczekuje, tak, kiedy odezwie się placówka "Prom", kiedy plunie ze swoich cekaemów Gryczman, kiedy... Wie, że nastąpi to wówczas, gdy tamci ruszą. Gdy trzeba będzie odeprzeć ich pierwsze natarcie.

Ciągle jeszcze ostro i donośnie rozlegają się w koszarach alarmowe dzwonki.

- Łopatniuk, wyłączyć dzwonki, już dość tego! - podnosi niespodzianie dla siebie głos w hallu.

Łopatniuk wykonuje rozkaz, wyłącza. Wydaje się, że błogosławiona cisza spłynęła do koszar. Spokój. Ton pocisków, które wałę się na półwysep, jest teraz czysty, bez tego irytującego akompaniamentu dzwonka.

Łopatniuk ma nowe informacje, składa meldunek:

- Mat Bartoszak widział, że pierwsze pociski wpadły w morze. Ale teraz dranie poprawili celownik! Biją w las.

Mimo wyłączenia dzwonek, które odjęły nieco nerwowości atmosferze koszar, Dąbrowski czuje, że nadal jest spięty; to przecież jego bojowy chrzest. W duchu odzywa się co chwilę głos jakby zdziwienia: a więc to jest właśnie tak. Tak wygląda wojna.

Po chwili jest w centrali telefonicznej, mówi do dyżurnego kaprała Treli:

- Daj mi Gdańsk, Komisariat Rządu.

Trela wytrzeszcza oczy.

- Nie mamy połączenia. Odłączyli nas od centrali.

Odciepli - łajdaki. - Trela mówi jak w transie. Z nim też dzieje się to, właśnie to: zaatakował go bakcyl wojny.

- Pan kapitan nie wiedział? - pyta w końcu.

Dąbrowski byłby może i odpowiedział, ale nareszcie jest to, jest ten dźwięk, którego tak oczekiwał. Dźwięk, który go uspokaja, wypiera tremę, to jakby odgłos pierwszych słów jego roli, co zawsze uspokaja dobrego aktora na scenie.

Właśnie przemówiły jego maszynki! Jego maszynki... Gryczman i "Prom" zostali już zaatakowani.

Ile to już minut trwa to wszystko? Dziesięć, dwadzieścia?! Sucharski patrzy na swoją omegę. To zaledwie trzy minuty!

- Idź, nadaj przez radio depezę do dowództwa, że zostaliśmy napadnięci - mówi do Kuby.

W kajucie radiostacji, w suterynie siedzi zaspany Zarębski i przeciera oczy. Rasiński jeszcze nie dotarł ze swego mieszkania w willi podoficerskiej. No, chyba nic się nie stało - pociesza się Dąbrowski. Powolny Zarębski źle zastruganym ołówkiem chemicznym notuje tekst depezy:

„Westerplatte, 1 września 1939, godzina 4.45, zostaliśmy napadnięci przez Niemców”.

- Nadaj szyfrem - powiada Kuba i wybiega. Tak, chce wiedzieć, co dzieje się tam, na głównej pozycji obronnej, na placówce "Prom". Po wyjściu z kajuty radiostacji zajrzał, prawie nie zastanawiając się nad tym dlaczego, do jadalni. Z odległego drugiego jej końca słychać było jakieś głosy, pojedyncze, mocniejsze, jakieś przekleście... Poszedł tam, w stronę garażu i rusznikarni - ludzie Grabowskiego właśnie wytaczali armatę.

Dopiero teraz? - dziwił się w duchu. Ale przypomniał sobie, że w planie alarmu bojowego wytoczenie działa miało nastąpić na specjalny rozkaz dowódcy. Widocznie

Sucharski teraz właśnie go wydał. Artylerzyści przystanęli chwilę w drzwiach garażu, jakby zastanawiali się, czy warto wychodzić pod taki deszcz pocisków... Ogniomistrz Piotrowski, rumiany i pyzaty, wydawał amunicję jak święty Mikołaj, uśmiechnięty i dostojny.

- Panowie, trzeba jechać z działem przez las - powiada Kuba. - Droga jest pod ostrzałem. Nie przepuszczą was...

- Może by biegiem drogą? W lesie ugrzęźnie - powiada Grabowski, wskazując na Lafiryndę.

Wybiegają wreszcie desperacko w szczerze pole, muszą przebyć pędem pusty plac, aby potem skryć się za willę podoficerską, a od niej ruszyć do lasu i dotrzeć na stanowisko. Przez niedomknięte drzwi garażu Dąbrowski słyszy, jak koła biednej Lafiryndy szurgotają po żwirze i jak kule cekaemów zza kanału ten żwir przeczesują...

Nieustannie dziwi się. A więc to jest tak, tak wygląda wojna. Patrzy przez otwarte drzwi garażu. Jest już dzień, choć trochę mdły, trochę mglisty. Kopuły drzew chwytają więcej światła od wschodu, z tamtej strony idzie właśnie niemiecki atak. Nasze maszynki gadają na całej przestrzeni.

Strzelają ludzie Gryczmana, z lewej chyba Szamlewski na placówce "Wał", a z prawej "dwójka" Grudzińskiego.

Wchodzi do garażu porucznik Pająk, mocno błyszczą jego sympatyczne czarne oczy. Uśmiecha się, ale widać, że trawi go jeszcze gorączka z nie wyleczonej grypy. Za nim kilku ludzi, to uzupełnienie na placówkę "Prom".

- Przejmiesz dowodzenie od Gryczmana. Tam już Niemcy nacierają, nie dajcie się! No, trzymaj się Leon!

Obejmują się na chwilę, Kuba czuje twardy zarost Pajaka na policzku. W innych warunkach powiedziałby zaraz: "Oficer musi być zawsze ogolony, bo nie wiadomo, kiedy zamelduje się w niebie"; ale teraz milczy. Patrzy za nimi, jak biegną skuleni, jak przypadają do ziemi pod ogniem i jak ich Pająk podrywa, gdy zalegają nazbyt długo.

A więc to jest tak, to tak właśnie wygląda. Ale ma w oczach przestrzelone okna sypialni, pod nimi leżących żołnierzy i wodę tryskającą z podziurawionych rur łazienki.

Ten obraz początku wojny pozostanie w nim na zawsze.

Za oknem pokoju dowodzenia ustawia swoje mózdzierze plutonowy Bieniasz. Ukryte w zagięciu budynku koszarowego, osłonięte od strony kanału, są tu bezpieczne.

- Gdzie Mały? Gdzie Kręgielski? - pyta Kuba. Chorąży Pełka jest zdenerwowany, poprawia pasek hełmu pod brodą, głos mu się rwie.

- Już zeszli z placówki, nawet wchodzili do koszar.

Usłyszeli pierwsze wybuchy i zaraz zawrócili. Pewnie już są na miejscu.

Na parter do pokoju dowodzenia schodzi Sucharski. Lekko pochylony i blady, ale spokojny jak zawsze. Sadowi się w krześle przy telefonie, też czeka na jakiś znak od Gryczmana. A tam maszynki młóćą bez przerwy. Czy Leon dobiegł już na placówkę "Prom"? To pewne, że Niemcy jeszcze nacierają, odgłos naszych cekaemów ma regularność rozpędzonej sieczkarni.

Dzwoni tymczasem Grabowski, że Lafirynda Mikołajewna zaklinowała się w lesie. Między trzema drzewami. Potrzebują piły albo siekiery, inaczej nie ruszą jej z miejsca.

- Niech wam da Gawlicki, ma narzędzia w elektrowni! - woła Dąbrowski. - Spieszcie się na stanowisko, z elewatorów idzie straszny ogień. Musicie ich uspokoić!

Za dużo gadam. To wszystko jest oczywiste. Nie potrafię tak jak major odzywać się tylko wtedy i mówić tylko to, co jest niezbędne - karci sam siebie. - Jako dowódca pod ogniem wroga muszę zdać egzamin lepiej - przyrzeka sobie. Patrzy na Sucharskiego, któremu w twarzy nie drgnie ani jeden mięsień, który nie wypowiada żadnego niepotrzebnego słowa.

Jak spod ziemi wyrasta nagle w pokoju dowodzenia Grodecki. Jest w niebieskawym mundurze lotnika, gwiazdki na czarnym berecie, czarny płaszcz skórzany narzucony na ramiona. Melduje się Sucharskiemu.

- Gdańsk odciął nam dopływ prądu. Czy mam uruchomić elektrownię bojową w piwnicy? - pyta majora.

- Zgoda, uruchamiaj - powiada Sucharski.

Telefon od Gryczmana odbiera Dąbrowski.

- Melduję, natarcie nieprzyjaciela ugrzęzło w naszych zasiekach i potykaczach. Cekaem Barana ich dziesiątkuje. Mam dwóch rannych. Świstowicz w rękę, Dominiak w pierś.

To się nazywa dobra szkoła meldowania, jaka zwięzłość i ile treści. W kilku słowach wszystko.

- Panie chorąży - odzywa się Kuba. - Dominiaka odesłać do koszar. Porucznik Pająk jest już w drodze z grupą ludzi i elkaemem. Zaraz u was będzie.

Grodecki właśnie uruchomił silnik spalinowy awaryjnej elektrowni, słychać tutaj miarowy terkot, dodatkowy odgłos.

Gdzieś daleko na wschodnim przedpolu wytryskają w niebo czerwone rakiety. Niemieckie. I zaraz potem znówu rozlega się mordercza kanonada. Pociski rwą się na plaży nadmorskiej, koło "piątki" i przy schronach amunicyjnych.

- Co z Szamlewskim? Nie daje znaku życia?

- Nie wiemy. Także brak sygnałów o Najsarku. Nocował na stacji.

Męczy Kubę jedno pytanie, ale teraz decyduje się je zadać.

- Jak myślisz, Henryku, to tylko atak na Gdańsk czy wojna?

- Myślę, że wojna - powiada Sucharski i spuszcza głowę.

Jakby niesłychanie smucił go ten fakt, że wojna. Dla Kuby jest to tylko informacja - czy tylko oni, czy też cała Polska znajduje się teraz w ogniu wzdłuż granic?

Porucznik Pająk dotarł już do placówki "Prom". Sucharski słucha jego meldunku przy telefonie.

- Melduję, trwa ogniowa walka z nieprzyjacielem, który znajduje się w odległości stu pięćdziesięciu do dwustu metrów. Nasz ogień jest celny i skuteczny. Przygotujcie moździerze, będę potrzebował wsparcia, gdyby nieprzyjaciół posłał nowe siły.

- Przygotuję moździerze. Niech was Bóg wspomaga! - powiada major.

Nie przypuszczał, że ten Sucharski to aż taki pobożny człowiek. Ale i pragmatyczny. Każe przygotować moździerze, celownik na przedpole placówki "Prom". Kuba przez otwarte okno wykrzykuje polecenia dla plutonowego Bieniasza, ten znowu powtarza rozkaz swoim żołnierzom.

- Bądźcie gotowi do strzelania na rozkaz! - woła Dąbrowski.

I znów telefon, w ogóle telefony się urywają, mrugają światełka i odzywają się brzęczki na centrali, część z nich odbiera już tam chorąży Pełka. Ale teraz odzywa się ten ważny, na który czekają. To Grabowski. Melduje z namaszczeniem:

- Działo na pozycji, gotowe do strzału, proszę o rozkaz otwarcia ognia!

Sucharski powiada:

- Zaczynaj, w imię Boże!

Grabowski nie wyłącza się, w słuchawce brzmi jego drżący od tremy i ekscytacji głos:

- Karabin maszynowy w okienku latarni morskiej, celownik czterysta, granat ładunek normalny, zapalnik z krótką zwłoką...

Dopiero wtedy odkłada słuchawkę. Czekają w napięciu na wybuch tego pierwszego pocisku. Wreszcie jest głucho „buuuch” po przeciwnej stronie kanału. I echo dudniące gdzieś poprzez wodę. Tymczasem znów terkot telefonu, to Pająk żąda dodatkowej amunicji do cekaemów. Posyłają mu ją przez Magdziarza z kilkoma żołnierzami. Grodecki wraca z piwnicy i nie może wytrzymać:

- Jak strzela nasze działo? Celnie?

- Ciekawe, gdzie Grabowski ulokował swój pierwszy pocisk - mówi Kuba.

- Weź lornetkę i zobacz! - powiada Sucharski.

Nie ma w tym opryskliwości, Kuba rozumie to jako rozkaz, ma iść na obserwację.

Idzie znów po schodach na piętro, wybiera gabinet lekarski, szkło brzęczy pod butami. To dobre miejsce, od strony kanału, wszystko stąd widać. Staje w załomie okna, opiera się o framugę i przez moment chciałby usnąć. Płowe niebo poranku zapowiada znów upał, dwa obłoki pełzną od strony Helu, budynki po drugiej stronie kanału poróżnowiały lekko od pierwszych blasków słońca. Na latarni pilotów błyska coś raz po raz, jakby ktoś otwierał okienko i zamykał, chwycił i odbijał promienie słońca. Tak, to karabin maszynowy, pociski świetlne. Kuba przykładła lornetkę do oczu, ostrzy obraz w jej szklach, ma teraz fragment: czubek latarni. Srebrny punkcik - lufa karabinu maszynowego. Ale pod nią niżej wyrwa w murze; oczywiście, to robota Grabowskiego. Słyszy gwizd, właśnie teraz leci pocisk drugi od Lafiryndy. Plujące ogniem okienko tuż pod galeryjką latarni zamienia się w dużą wyrwę. Nie czeka dłużej, pędzi do pokoju dowodzenia.

- Wyobraźcie sobie, drugim strzałem Grabowski załatwił niemiecki cekaem na latarni pilotów! Drugim strzałem!

Z "jedyńki" dzwoni Buder. W głosie jego wyczuwa się ton dramatyczny, nie potrafi go ukryć.

- Panie majorze, melduję, że starszy strzelec Ziembra jest ranny.

- Jak ranny?

- Odłamkiem w głowę. Leży tu bez przytomności.

- Odesłać rannego do koszar - nakazuje major.

Tymczasem Pająk żąda wsparcia mózdzierzy. Melduje, że zbliża się druga fala natarcia. Tak wygląda, jakby teraz szli na nich jacyś inni. Tacy w granatowych płaszczach.

Dąbrowski wydaje rozkaz Bieniaszowi, krzycząc przez okno. Ten na dziedzińcu przed koszarami wydaje komendy swoim. Słychać śmiesznie cienki świst min, które właśnie poszybowały w drogę.

Po ich wybuchu telefonuje Pająk, już w euforii walki, już nie dobierający słów.

- W głowę mnie odłamkiem skaleczył, bałwan. Za krótkie, cholera, za krótkie. Niech wydłuży celownik.

Dąbrowskiemu też udziela się ten nieuchwytny dreszczyk walki, to napięcie idące od pierwszej linii, ten tajemny prąd, który rodzi bohaterów, a bierze się z nadmiernego wydzielania adrenaliny. Tylko wciąż nie daje spokoju to pytanie - atak Niemców na Gdańsk czy wojna? Nie otrzymał na nie miarodajnej odpowiedzi.

- Pójdę do radia - powiada i zbiega po schodach do kabiny sierżanta Rasińskiego. Sierżant siedzi już na swoim stanowisku ze słuchawkami na uszach.

- Komunikat do dowództwa nadany? Jest odpowiedź?

- Komunikat nadany. Odpowiedzi nie ma.

- Co wiecie z radia?

- Gdańsk nadaje, że wojna i że Forster przyłączył Wolne Miasto do Rzeszy. Zaraz będzie chyba coś z Warszawy, bo na razie tylko dają muzykę.

Patrzy nerwowo na zegarek, jest za dwadzieścia siódma, czy też dochodzi dopiero. Rasiński nastawia Warszawę i podaje mu słuchawki.

- Jest Warszawa! - powiada.

I głos w słuchawkach: „... i wszystkie rozgłosnie Polskiego Radia. Dziś o godzinie 3.40 oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską łamiąc pakt o nieagresji.

Bombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszą państwo komunikat specjalny.” Mimo woli przechodzi go dreszcz. A więc wojna! Wojna. W ogniu jest cała Polska. Już były bombardowane miasta, dopuścili więc ich samoloty, dali się zaskoczyć? Komunikatu specjalnego nie ma, w eterze trwa normalna cisza.

Wreszcie odzywa się głos piękny i patetyczny:

„A więc wojna! Z dniem dzisiejszym wszystkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory...”

Zdjął słuchawki, nie cierpiał patosu i strzegł się drętwej mowy, bo wiedział, że czasami się na to sam daje nabrać. Co oni tam pieprzą, że trzeba się przestawiać na inne tory?! Te pociski, co wałą z krążownika na Westerplatte, już im życie publiczne i prywatne przestawiły dokładnie.

Gdy składał relację majorowi z tego, co usłyszał w radio, Grodecki zaczął monolog:

- Nareszcie damy po krzyżach tym łajdakom, odwdzięczymy się za te wszystkie poniżenia. Jestem przekonany, że już ich nasi gnają na zachód, że uciekają przez wsie i ścierniska, i szwabskie dziewczki piszczą z przerażenia. Da im w kość nasz żołnierz, zobaczycie!

- Ja z Sobocińskim umówiłem się drugiego dnia po wojnie o dwunastej w południe na Unter den Linden! - obwieszcza triumfalnie Dąbrowski. - Jak dożyję, to tam się spotkamy, jak Boga kocham! - woła Dąbrowski w przypiływie wojennego entuzjazmu.

Sucharski milczy, patrzy w blat biurka, nieruchomy.

Wreszcie wykrztusza:

- A co też teraz z biednym Wickiem się dzieje? Pewnie Komisariat Rządu zajęli Niemcy...

- Jak to! - woła Grodecki. To przecież placówka eksterytorialna, dyplomatyczna, nie ma ją prawa...

Telefon przerywa rozmowę w pokoju dowodzenia. Głos Gryczmana jest poważny i uroczysty.

- Panie majorze, melduję, że przejąłem dowodzenie placówką "Prom". Porucznik Pająk ciężko ranny.

Sucharski słyszy w słuchawce chrapliwy, szybki oddech chorążego.

- Pocisk rozerwał mu dół brzucha i krocze. Wnętrznosci na wierzchu. Strasznie się krew leje. Budka telefonu jest wywrócona, ja mówię do pana majora na klęczkach, inaczej się nie da!

- Opatrzyć szybko porucznika i odesłać do koszar.

A więc leje się krew. Leje się nie na żarty. Taka jest wojna, nie ma bezkrwawych wojen.

- Biedny Leon, ledwie się chłopisko ożenił... - mruczy Grodecki. A nasza Lafirynda Mikołajewna wali, słyszy pan, majorze?!

- Boję się, żeby ten Grabowski nie wystrzelał za szybko amunicji. Trzeba by go powstrzymać. I podziękować mu za celny ogień.

- Czy mógłbym pójść do niego z tą misją? - pyta Grodecki.

- Proszę, poruczniku.

Dąbrowski mu zazdrości, ma już dość tej wojny, którą odbywa miotając się po budynku koszar. Chciałby wojny prawdziwej, gdzie strzelają działa i karabiny i widać przeciwnika, jak zalega pod ogniem. Właściwie wszystko wie z drugiej ręki, niczego nie ogląda na własne oczy.

Tymczasem postanawia obdzwonić wszystkie wartownie i placówki. Przekazać informację, jak dzielnie broni się przed atakami nieprzyjaciela placówka "Prom", jak prażą cekaemy „piątki” i „dwójki”, jak mocno trzyma się "Przystań" pod ogniem z elewatora zbożowego Anker, jak wspaniale spisuje się ich jedynaczka, armata Lafirynda Mikołajewna pod komendą Grabowskiego...

W trakcie przekazywania informacji trafia na słabe ogniwo: Szamlewski wycofał się do placówki "Fort" i jest u Benka Rygielskiego. Trzeba wzmocnić tam łańcuch obrony.

Postanawia przesunąć Dejka z jego grupą, który tkwi nad kanałem, na teren między "piątką" a "Fortem". Niech zapełni miejsce po Szamlewskim.

Buder tymczasem informuje z "jedyńki", że ma już u siebie rannego porucznika Pajaka. Wygląda niedobrze, a nawet strasznie. Krwawi bardzo, oni nie umieją zabandażować

takiej rany. Okropnie poszarpana. Pająk ma pragnienie, wypił dwie butelki lemoniady, ale jest przytomny.

- Niech doktor Słaby przyśle po niego sanitariuszy!

Wraca Grodecki, tuż za nim Grabowski ze zwieszoną głową.

Lafirynda umilkła na zawsze, "Schleswig" przerwał bowiem ogień na placówkę "Prom", aby wszystkie swoje działa skierować na ich biedną jedynaczkę. Zaraz na początku, gdy obsługa skryła się w schronie, pocisk rozbił jedno koło i uszkodził przyrządy celownicze. Lafirynda przechyliła się żałośnie na lewy bok i stała się niezdatna do prowadzenia dalszego ognia. Grabowski melduje, że oddał dwadzieścia osiem strzałów w stronę zabudowań Nowego Portu. W większości celnych, uciszył karabiny maszynowe po tamtej stronie kanału. Pyta, co ma robić.

- Zostaniecie w koszarach, w garażu. Potem dostaniecie dalsze rozkazy.

Bardzo więc szybko powrócili artylerzyści tam, skąd tak niedawno i z takim trudem przetoczyli na pozycję biedną Lafiryndę.

2

Tymczasem dobiega końca dramat placówki "Prom" i Kuba śledzi go z ogromnym, przytłaczającym napięciem. Niemcy oznaczyli sobie na mapie dość dokładnie jej miejsce i prążą teraz z całej artylerii. Wałą działa gdzieś ze Stogów, z Brzeźna, no i bliski "Schleswig".

Telefonuje z "dwójki" kapral Grudziński.

- Panie majorze, "Schleswig" ruszył do przodu, ciągną go dwa holowniki. Strzela po drodze ze wszystkich dział.

Kładzie nasz las pokotem!

Słysząc tę piekielną kanonadę, ale wyników jej stąd nie widać. Gryczman melduje, że jest pod straszliwym ogniem.

Potem połączenie z "Promem" zostaje przerwane i wiedzą tylko to, co donosi Buder z "jedyńki".

- Wyślij gońca do Gryczmana. Niech się cofa na „jedynekę”! - decyduje major.

Buder melduje, że wyekspediował Pajaka, niosą go Wysocki i jakiś drugi. "Prom" dalej pod silnym ostrzałem, bronią się granatami ręcznymi. Pełno tam dymu, fontanny wybuchów, trudno się czegoś dopatrzeć.

Sucharski odzywa się niespodziewanie:

- Jak myślisz, Kuba, jak długo wytrwamy? Jesteśmy już pod ogniem prawie pięć godzin. Straty mamy spore, prawda, ale najgorsza tragedia z Leonem.

- Nie mamy dużych strat jak na taki ogień - powiada optymistycznie Dąbrowski. - Żeby tylko oddziały Skwarczyńskiego ruszyły szybciej i dotarły na przedpole Gdańska. Wtedy pogonimy kota tym łajdakom z Heimwehry...

Jest entuzjastycznie nastawiony mimo tego dramatu na „Promie”. No cóż, „Prom” był przewidziany do ewakuacji, swoje zadanie wykonał, a straty przeciwnikowi zadał duże.

Meldują teraz, że przyniesiono na noszach porucznika Pająka. Nosze całe zalane krwią, czerwone. Wygląda to fatalnie: nagie nogi, uda porwane na strzępy, podarte na krwawą miazgę podbrzusze i krocze.

- Leon - powiada Kuba.

Oczy Pająka patrzą w sufit nieruchomo.

- Szybko, do doktora Słabego, do piwnicy!

Pająk jest już nieprzytomny, nie odzywa się.

A więc to jest tak, tak wygląda wojna z bliska - powiada sobie Kuba. Major jednak wychodzi z pokoju i idzie na punkt opatrunkowy, jakby chciał pomóc Słabemu w ratowaniu Leona.

Dąbrowski zostaje sam w pokoju dowodzenia. Odbiera telefon z „jedyńki”. Mówi Buder, jakby w gorączce:

- Panie kapitanie, załoga „Promu” cofa się na mnie.

Przerwałem ogień i trzymam otwarte drzwi. Biegna skokami pod ogniem. Nie wiem, ilu ich, nie mogę policzyć. Widzę tylko Gryczmana.

- Wołaj, żeby biegli prędzej, musisz zamknąć drzwi.

Zaraz za nimi mogą być Niemcy - radzi Dąbrowski.

- Tak jest! - i trzask odłożonej słuchawki. I cisza pełna napięcia w telefonie, i odgłos kanonady „Schleswiga”, który wychylił się zza Zakrętu Pięciu Gwizdków i stoi o jakieś czterysta metrów od placówki „Prom”. Praży dalej ze wszystkich dział. Wydaje się Kubie, że to trwa wieki.

Wreszcie odzywa się telefon, ten, na który czeka. Gryczman, zawsze powściągliwy, twarz obciągnięta skórą, wystające kości policzkowe, obojętny jak ołowiany żołnierz, teraz zapomniał o formach regulaminowych. Dyszy jeszcze po biegu, sapie, chwyta ustami powietrze, mówi z przerwami:

- Panie kapitanie, skurwysyny. Skurwysyny zgubiły ранnego kolegę. Ja im wybiorę jajka, kurwa mać. Kto to widział, zostawić po drodze ранnego...

- Kogo zostawili?

- Kowalczyka. Obrzucił granatami dREWUTNIĘ szupowców.

Strzelec Uss wtedy poległ. Kowalczyka sam ściągałem do okopu, a te skur...

- Czemu wcześniej nie meldowałeś o poległym?

- Wtedy przywałyły mnie gałęzie, potem połączenie się przerwało. - Gryczman sapie, okropnie sapie, po długim biegu i z irytacji.

- Teraz wycofaliśmy się w porządku, tylko te skur... Czy mam wydać rozkaz, żeby wracali szukać Kowalczyka?

- Tak jest, wydaj rozkaz. Rannego kolegi nie wolno porzucać.

- Oni tłumaczą, że sam im kazał. Że kazał zostawić...

- To nie jest tłumaczenie. Kolegę trzeba ratować.

- Tak jest - powiada Gryczman i odkłada słuchawkę.

Wydawanie rozkazów w ogniu. Zawsze wyobrażał sobie, że to musi być trudna sztuka. Odpowiedzialność, rozważa, przewidywanie. A tymczasem przychodzi mu to jakoś, no, jakby nazbyt lekko. Ciągłe tylko słyszy "tak jest", jak za dawnych dobrych czasów służby pośród leśnego kurortu na półwyspie Westerplatte. Jakie to dawne czasy, jakie dawne... Choć wojna trwa zaledwie sześć godzin.

Nawała ognia nieustannie toczy się jak walec przez cały półwysep. "Schleswig" płynie kanałem od Zakrętu Pięciu Gwizdków bardzo wolno. Po drodze jak gdyby przystaje, i wtedy z namysłem posyła ogniki ze wszystkich luf. Jest to mozolna kośba, która równa las na całym półwyspie, a w zamierzeniu wroga ma zniwelować w ogóle życie na Westerplatte. Łamią się drzewa, oblatują gałęzie, padają w fontannach piór rażone pociskami bażanty. Wielkie pnie starodrzewu rozłupują się łatwo, jak zapałki. Trafione u podstawy unoszą się z korzeniami w górę i spadając, gdy pień uderza o ziemię, wydają jakby jęk umierania. I nagle cisza.

Koniec. "Schleswig" teraz odpoczywa po tym gigantycznym pokosie. Grudziński z "dwójki" melduje, że od niego widać jak na dłoni pusty plac wokół dawnej placówki "Prom", nie ma lasu na całym przedpolu, nic nie przesłania widoku. O to zdaje się nieprzyjacielowi szło, o oczyszczenie przedpola do dalszego wybierania celów.

Sucharski liczy coś w notesie. W końcu podnosi wzrok na Kubę.

- Mamy już dwóch zabitych, dwóch ciężko rannych. Jeden zaginiony.

- Jaki zaginiony?

- Strzelec Kowalczyk. Być może trzeba będzie go policzyć wkrótce do zabitych.

Przychodzi na punkt dowodzenia doktor Słaby, ręce bardzo długie i wielkie zwisają mu bezradnie i głos ma przedziwnie miękki.

- To nie jest przypadek dla wiejskiego lekarza wszech nauk. Tu jest potrzebna klinika, tu jest potrzebny chirurg, zespół...

- O czym ty mówisz - jakby ze snu budzi się Dąbrowski.

- O Leonie Pająku. Jest to wyjątkowo ciężkie i bardzo skomplikowane zranienie. Wymagać będzie operacji, instrumentów, a nade wszystko ręki dobrego chirurga. Ma rozerwane krocze, no i wszystko, co tam męskiego jest, w strzępach. Ja nie potrafię wiele z tym zrobić, praktycznie nic. Grozi w tych warunkach gangrena.

- Przytomny?

- Nieprzytomny. Zrobię, Kuba, co będę mógł, ale zrozumcie, jego trzeba odesłać do kliniki.

- Jeżeli jeszcze powiesz, Mieciu, w jaki sposób, to dostaniesz medal. Za pomysł.

Słaby rozkłada ręce, składa, wychodzi. Kuba idzie razem z nim. Popatrzeć na Pająka. Leży obandażowany, śpi. Ale właśnie zaczyna się ostrzeliwanie koszar. Są one teraz dla Niemców widoczne jak na dłoni, żadne drzewa ich nie przesłaniają. W jadalni, gdzie w kącie doktor Słaby ma swój punkt sanitarny, spadać zaczynają z okien worki z piaskiem.

Sanitariusze gwałtownie przesuwają rannych w bezpieczniejsze, jak im się wydaje, miejsca. Ktoś jęczy, to chyba nieprzytomny Leon.

Ostrzał artyleryjski trwa.

Dąbrowski postanawia odwiedzić kabinę bojową w podziemiach koszar, zwaną wartownią numer sześć. Jej strzelnice wychodzą na północ, wschód i na południe.

Plutonowy Łuczyński melduje się jak na ćwiczeniach.

- Nie trzeba, Łuczyński, wojna ma swoje prawa... Będę tu wchodził często, trzeba popatrzeć na przedpole.

- Tak jest.

Kuba widzi przez lornetkę, że pociski obramowują wartownie pierwszą i drugą, wybuchają przy "piątce". czyżby mieli już nasze wartownie naniesione na mapę? Byłoby to fatalne.

Major powiada w pokoju dowodzenia:

- Mamy za sobą już siedem godzin.

3

A więc to jest tak... Prosty stół, twardego stołek, telefon i ustawiczne bębnienie wybuchów. Gdy się człowiek przyzwyczai i przejdzie ten wewnętrzny skurcz, który powoduje świadomość ścisłej korelacji między takim hukiem a niszczącym wybuchem

pocisku, można wtedy zacząć względnie prawidłowo myśleć. Nie dać się wdusić w psychiczną zapaść, w opętanie wyobraźnią, w kołowrót myśli: byle nie tu trafiło, dobrze, że teraz nie, nie w nas...

Stół, stołek, telefon, okna przysłonięte workami z piaskiem, ale przez szpary wpada trochę dnia, nawet tyle, że jest prawie widno w tej siedzibie oficera dyżurnego, która teraz mieści punkt dowodzenia. Sucharski siedzi, i Kuba musi podziwiać w nim spokój, ten sam, co zawsze, nieodmienny.

Żaden mięsień nie drgnie, ani cień przemknie przez twarz, ani spłoszą się oczy.

- Skąd u ciebie, Henryku, tyle spokoju... Wybacz, ale wydaje mi się że to trudna sztuka.

- Musisz być przygotowany na to, że najbliższy pocisk trafi w ciebie. Najbliższy. I pogodzony z tym.

- Ty jesteś pogodzony?

- Tak.

- Straszne - powiedział Kuba. Dlaczego mamy się na to godzić?!

- Bo jest wojna.

Stukają niemieckie kaemy zza kanału, oni z elewatorów mają wgląd w Westerplatte jak kucharka do garnka, kontrolują każdy krok. Obiecywali nasi, że te budynki wysadzą.

Sobociński, radosny i niefrasobliwy, jego obiecanki:

„Bojówki polskie wysadzą to w powietrze, nie macie się co martwić...” Gadanie na wiatr, plewy, tromtadracja, głupota, diabeł wie, co jeszcze. Jeżeli nie miał założonych min a ręki na przełączniku - po co gadać? A gdzie ten desant z morza? Wszystko uzgodnione, Grudziński na ”dwójce” wie, że w razie czego ma kontrolować ogień z naszych okrętów - myśli major. Tych okrętów nie ma, a jakże potrzeba im wsparcia artylerii! Lafirynda narobiła trochę szkody, poszczerbiła Niemcom mury na tamtym brzegu kanału, ale teraz odżyją tam na nowo. Nie ma już Lafiryndy.

- Henryku, właściwie nasze okręty powinny już tu być.

Sucharski machinalnie patrzy na zegarek. Jest dokładnie samo południe. Kuba widzi przez szparę między workiem a framugą, że drzewa na skraju lasu zalane są słońcem.

- Powinny być - odpowiada jak echo bezbarwnie major, a w jego głosie nie ma za grosz nadziei. On rzeczywiście uważa się za kandydata pod najbliższy pocisk - myśli teraz Kuba i patrzy na majora trochę inaczej. Sam jednak chce ominąć wszystkie pociski i zachować w tej walce jakąś inicjatywę.

Ileż jej można tu wykazać?

Z meldunków telefonicznych, relacji gońców, strzępów rozmów sanitariuszy, powracających z pola, układa sobie jak z klocków obraz sytuacji na półwyspie.

Na zachodzie Kręgielski przycupnął pod ostrzałem zza kanału, ale dzielnie się trzyma. Ten by dał wszystko za ostrzelanie z polskich okrętów magazynów na nabrzeżu Nowego Portu. Placówka "Prom" na wschodzie już nie istnieje, ale jeszcze w jej okopy nie weszli Niemcy. Zupełnie jakby bali się pułapki. Rygielski na placówce "Fort" likwiduje próby podejścia ich od strony plaży. Wartownie trwają, czuwają w nieustannym napięciu, bez kropli wody i bez ciepłego jedzenia.

Tu w koszarach jest względnie bezpiecznie, ten pokój z prostymi sprzętami ma nad sobą dwa żelazobetonowe stropy, każdy po czterdzieści centymetrów grubości, i niewiele zrobi im zwykły pocisk. Gdyby padały bomby, trzeba zejść na dół, wtedy ma się nad sobą trzy takie stropy i fachowcy zareczali, że żadna bomba tego trzeciego nie przebije.

Strach więc tutaj jest inny, mniejszy, ograniczony świadomością zabezpieczenia, choć zawsze może wpaść przez okno jakiś zabłąkany pocisk. I tak samo czują się ci w wartowniach, mając pod sobą kabiny bojowe, zabezpieczone zbrojonym stropem. Najgorzej teraz ma jednak Mały, to fakt, ale nie skarży się. Ma tylko rowy, które sam ze swoimi chłopakami wykopał; dziurę przykrytą od góry kilkoma belkami, z nadsypaną na nich ziemią.

Dotychczas najtrudniejszą pozycję zajmował Leon Pająk, prawda, zapłacił straszną cenę, czy wyżyje? Jak szybko, jak okropnie szybko to wszystko się dzieje. Przypomina sobie porucznika leżącego na noszach. Kiedy indziej człowiek ubrany od góry, a od dołu nagi, wydaje się śmieszny. Ale krew tutaj ubarwiła obraz i nadała mu... tragiczność jatki.

Dopiero co się Pająk ożenił, było wesele, a już tak blisko pogrzebu... Może major ma w tym rację, że trzeba być w każdej chwili przygotowanym, wtedy nie jest człowiekowi tak strasznie?!

Nadzieja, nie wolno jej porzucić. Dąbrowski jak dotąd ma jej nadmiar.

- Nie ma na razie desantu. Trudno. Ale powinien już się zbliżyć korpus Skwarczyńskiego. Najwyższy czas!

Major nie podniósł oczu z nad stołu. Milczał. Artyleria

„Schleswiga” powoli cichła. Słyszeli teraz od strony Orłowa daleką kanonadę.

- Tam działa także grają - powiada.

- Tam też - potwierdza major. I nic więcej, tylko tyle.

Ale jest w powietrzu jeszcze jakiś dźwięk. Przeciągłe, jakby żałośliwe wycie.

- To coś jakby w koszarach - zastanawia się Kuba i wybiega na korytarz, biegnie przez hall, po schodach. Wrócił uspokojony, ale sarkastyczny. To się zwykle majorowi bardzo nie podobało.

- Oto rezultat działania naszych przyjaciół, podpułkowników Fabiszewskiego i Sobocińskiego - oświadczył dramatycznie.

Sucharski spojrzał pytająco.

- Wyposażyli nas w dwa psy, jedyną pomoc w trudnej sytuacji. Teraz właśnie Eros i Beza wyją w twoim gabinecie.

Armaty "Schleswiga" biją znowu głośno, jak młotki na Wielkanoc. Major wyczekuje, ale w przerwie wypowiada aż trzy zdania:

- Psy boją się. Nie ukrywają swego strachu tak jak ludzie. Boją się, dają nam znać o tym, że się boją.

Jakby obrażony wychodzi. Po chwili wraca, psy tuląc się do jego kolan wkraczają do pokoju dowodzenia.

4

Major był jakby zdziwiony, gdy doszedł do wniosku, że sam ma jeszcze nadzieję na pomoc. Przecież doskonale widział, jaka jest sytuacja, ale iskielki optymizmu nie wygasły w nim, wierzył, że jednak znajdzie się jakiś ratunek, że w ostatniej chwili przybędą na Bałtyk wielkie i groźne okręty sojuszników albo po prostu wmiesza się w to wszystko sam Pan Bóg i ich trwających tutaj ocali.

Dąbrowski wrócił do tematu jeszcze raz po południu, gdzieś przed godziną drugą, bo potem zaczęło się następne wielkie natarcie i na konwersacje w pokoju dowodzenia nie było czasu.

- Ja myślę - powiedział Kuba - że dowództwo i obrona Wybrzeża w pierwszych godzinach mają inne zadania. Tak więc nie spodziewam się teraz od nich pomocy. Przypuszczam, że artylerią wspomogą nas dopiero jutro.

A więc Dąbrowski liczy na artylerię! Czy on naprawdę nie wie, że gdyńskie działa przecież do Nowego Portu nie doniosą? On liczy na ten korpus Skwarczyńskiego, bo nie wie, że został wycofany do kraju. Może lżej jako komendantowi byłoby mu na duszy, gdyby Sobociński nie przekazał mu tej przygniatającej tajemnicy.

A tu grzmią pociski, wojna o Westerplatte trwa.

Telefonuje z "jedyńki" Buder.

- Panie majorze, co mamy robić z ludźmi z "Promu"? - w głosie jego czuć jakąś sztuczność, niepewność. - Jest tu trochę tłoku na wartowni.

Major podejrzewa, że świętoszkowatemu Buderowi bardziej chodzi o to, kto na dowodzić "jedyńką" i czy to Gryczman nie ma aby wracać do koszar. Ale Gryczman to znakomity chłop i on powinien zostać na "jedynce", która teraz znajduje się na pierwszej linii obrony.

- Niech wraca do koszar plutonowy Baran z nadwyżką obsady. Gryczman obejmie dowodzenie. Będziesz jego zastępcą.

Zresztą daj do telefonu Gryczmana.

Gryczman tym razem zachowuje zupełny spokój i nie ma już w nim tej pasji, z jaką wcześniej meldował o pozostawieniu rannego w polu.

- Przejmiesz dowództwo wartowni numer jeden. Buder zostaje jako zastępca. Wybierzesz dwudziestu jeden ludzi, to znaczy pełną obsadę, resztę z plutonowym Baranem odeślesz do koszar - rozkazuje. I pyta, czy odnaleźli rannego Kowalczyka.

- Wrócili z patrolu i klną się na wszystkie świętości, że go nigdzie nie ma. Ja im jeszcze, panie majorze, kota popędzę...

Resztę zagłusza orkiestra pocisków, które wybuchają właśnie w pobliżu "jedynki". Grała krótko - i po niej znów atak. Trzeci tego dnia. Majorowi jednak nie daje spokoju myśl o Najsarku, przecież nie ma praktycznie żadnego meldunku, nie wiadomo, czy żyje, może wzięli go do niewoli.

Postanowił, że wyśle patrol na jego poszukiwanie, gdy tylko nadarzy się spokojna pora. Teraz bowiem rozśpiewały się taśmy cekaemów, grają na całej pierwszej linii, w centrali mrugają światełka i odzywają się brzęczyki. Meldunki, że Niemcy nacierają znowu. Daje wartowniom wciąż ten sam rozkaz:

- Pozwolić, niech podejda jak najbliżej. Celnie strzelać i likwidować.

Odcinek dwustu metrów, którym iść może natarcie, bo tak szeroki jest u nasady półwysep, ryglują wartownie swoim ogniem krzyżowym wybornie. Ten, kto zaprojektował system obronny Westerplatte - a było to na długo przed przybyciem tutaj majora - zasłużył na wysoki szacunek i podziw. Resztę dokomponowali oni sami, Sucharski z Dąbrowskim: usytuowanie dodatkowych placówek w miejscach, które wydały im się newralgicznymi punktami.

I choć rażą nacierających tylko karabiny maszynowe, Niemcy przejść nie mogą. Znowu cofają się.

Major woła plutonowego Magdziarza, który dotąd używany był do zaopatrywania wartowni w amunicję. Magdziarz przeżył się przed majorem i rozumie, że otrzyma specjalne zadanie. A zadanie istotnie nie jest łatwe.

- Pójdziecie lasem do Petzelta, to znaczy do "piątki".

Od niego torem kolejowym do stacji. Patrzcie uważnie, chodzi o sierżanta Najsarka. Nie mamy o nim żadnych wiadomości.

Mógł biec w naszą stronę i kto wie, czy nie leży gdzieś w polu ranny... Patrzcie uważnie, Magdziarz!

Major usiłuje obliczyć straty, ale rzemiosło buchalterskie idzie mu ciężko, zwłaszcza że nie ma dobrych danych. Do jakiej grupy policzyć Najsarka? A tego, co koledzy porzucili - Kowalczyka? Uss zabity, to pewne. Ciężko ranni to Pająk, Ziemia, kontuzjowanych w tym rachunku nie liczy. Jeżeli przyjąć by wariant najgorszy, to ma trzech zabitych i dwóch ciężko rannych.

Wkrótce rozkaz zostanie wykonany: mija dwanaście godzin trwania. Teraz już może decydować sam, co dalej. Wytrzymali pod tym morderczym ogniem, nie brakło im męstwa i serca do walki. Ile jeszcze mogą wytrwać?

- Magdziarz melduje telefonicznie, że do stacji dojść nie może. Dostaje silny ostrzał od bramy kolejowej, a osłon koło toru już nie ma. Po drodze zatrzymał się na placówce „Fort” u Rygielskiego. Jest tam Szamlewski, który o świcie, zaraz po wysadzeniu muru, widział Najsarka. Wybiegł ze stacji kolejowej, prosto na serie nacierających. Zdaje się nie obudził się jeszcze zupełnie, ogień go zaskoczył. Samego upadku Najsarka Szamlewski jednak nie widział.

- Dobrze, dołączcie do grupy Dejka na torze - decyduje major.

Jest godzina siedemnasta i rozpętuje się znowu piekło artyleryjskie. Pociski spadają na koszary, na placówki, kolejne sygnały z wartowni świadczą o tym, że uderzają wszędzie. Od podmuchów spadają z okien worki z piaskiem, znów trzęsie się wszystko jak w febrze, brzęczą resztki szyb, a powietrze nasycza się zapachem prochu i dymem. Do diabła, to jest chyba najsilniejszy ostrzał, jaki dotąd otrzymali. Nawała ognia i stali, huku i dymu. Strzela „Schleswig”, ale także baterie lądowe ze Stogów i Brzeźna, z Wisłoujścia; kanonierzy muszą się zwijać tam jak na ćwiczeniach, bo działa plują ogniem często i gęsto. Żeby na tak małym skrawku ziemi wybuchało naraz tak wiele granatów?!

Tego major nie widział ani w młodości nad Piawą, ani później na polach pod Mińskiem, Mołodecznem, przy ukraińskich chutorach, gdy szła ofensywa Budionnego... Nie wierzyłyby żadnym opisom, że może istnieć taka siła zmasowanego ognia, gdyby nie miał

porównania z tamtej wojny. Ale może w ogóle siły rażenia w tej wojnie są mocniejsze i działają w sposób bardziej zmasowany?

Kuba, z którym obserwowali ostrzał z okienek kabiny bojowej w koszarach, u Łuczyńskiego, powiedział, że to jest naprawdę morderczy ogień. Ale Kuba dopiero dziś przechodzi chrzest bojowy i jego skala porównawcza odnosi się do tego, co było przed piątą rano czy w południe.

Gdy kanonada około godziny dziewiętnastej się kończy, jest już szarawo, a major konstatuje, że ma zaciśnięte dłonie i bolą go kciuki.

Potem zaraz wychodzi następne natarcie, dość niemrawe w porównaniu z poprzednimi, bo Niemcy poznali już moc ognia z polskich stanowisk. Gdy stwierdzają, że przygotowanie artyleryjskie nie powaliło obrońców na kolana, ustępują.

Słońce zapadło się gdzieś za Gdynią i jest ciemnawo.

Kuba obdzwania wartownie i major słucha tego jak radosnej piosenki. Strat nowych nie ma, strat nie ma, strat nie ma!

Pod tym strasznym ostrzałem ludzie okrzepli, lepiej się kryją, lepiej walczą. Po prostu po tylu godzinach tak się do tej nawały z powietrza przyzwyczaili, jakby przez całe życie trwali w huku i pośród wybuchów. Dopiero teraz dochodzą do siebie, jakaś wartownia dzwoni:

- Panie majorze, nie jedliśmy nic od rana!

- Zaraz wysyłam wam coś przez gońca!

Teraz, gdy ucichło, ludzie poczuli głód, pragnienie, rozejrzeli się po świecie. Gońcy roznoszą prowiant: po dwa suchary na głowę, po pół puszki konserw mięsnych, wodę do picia - bo kuchnia nie działała, żeby dymem nie zdradzić swego miejsca, więc nie ma kawy. Po dwadzieścia papierosów, „Egipskie przednie”. Telefoniści powoli wypelzają, aby naprawić zepsute połączenia. „Jedynka” nie może rozmawiać z koszarami, tylko poprzez „piątkę”. Właśnie w rozmowie Budera z majorem pośredniczy Petzelt.

- Buder melduje, że prosi o rozkręcenie szyn kolejowych.

Jest zaniepokojony, że Niemcy mogą wtoczyć pociąg pancerny - powiada Petzelt.

- Dziękuję, załatwione - powiada Sucharski. Pech chce, że słyszy dalszy ciąg ich rozmowy, mimo że Petzelt odłożył słuchawkę. Buder mówi:

- A jakby mnie dali w łeb, to pamiętaj, powiadom moją rodzinę.

- Nie wiadomo, komu pierwszemu to przyjdzie - Petzelt wygłasza tę dość banalną formułkę, w której później Buder niesłusznie dopatrywał się proroctwa czy też przecucia.

Teraz już koszary nad punktem dowodzenia nie kołyszą się jak pijany okręt, jest cisza i przy biurku Sucharskiego przysiadł milczący jak zwykle Grodecki. W oczach ma iskierki, to dziwne, na tej mumiiowej bez wyrazu twarzy jest jakiś niezwykle blask.

- Łączność, Stefanie, działa bez zarzutu - powiada Kuba.

No, mała awaria z "jedynką", ale już naprawiona.

- Pociski sypały się jak groch - powiada Grodecki. - Mogło się zdarzyć.

- Może jak melony albo arbuzy - prostuje Kuba.

Jest to chwila odprężenia, uśmiechy na twarzach.

Świadomość zdanego egzaminu. I nawet poczucie dobrze spełnionego obowiązku u majora. Pokazuje im swoją omegę i stuka w szkiełko.

- Minęło już szesnaście godzin!

Major ma jedną sprawę przekazaną przez Budera. Tor kolejowy. Czy tym torem nie zechcą wpuścić nam pociągu pancernego? - myśli. Stacja, zwrotnice są w ich rękach.

Decydują, żeby wezwać Szewczuka, jemu podlegają sprawy techniczne. Wtacza się brzuchaty, ale już zszarzały król kierowy, bez rumieńców. Wysłuchuje, sapie.

- Wysadzić w powietrze fragment toru - rzuca nagle pomysł.

- Jak i czym? - kontruje Grodecki. - Trzeba po prostu rozkręcić tory. I to w możliwie największej odległości od nas, jak najbliżej stacji. Kto to zrobi?

- Zgadzą się. Wołajcie Gawlickiego - decyduje major.

Gdy zjawia się Gawlicki, okazuje się, że nie mają narzędzi.

- No właśnie, zostały na stacji. Ale gdzieś w magazynie powinny być klucze. Spytamy sierżanta Toporowicza, powinien wiedzieć - informuje Gawlicki.

- Schody do magazynu są rozbite przez pocisk, bierzcie od razu drabinę - instruuje Grodecki.

- Kto ma ze mną iść? - pyta Gawlicki.

- Weźcie sobie ochotnika. Nie muszę tłumaczyć, że rozkręcić trzeba jak najdalej od naszych pozycji, jednak nie w pobliżu Niemców. Nie, nie chodzi o ich ogień - przede wszystkim, żeby nie zauważyli i nie zakręcili z powrotem.

To Kuba recytuje takie nauki i teraz Sucharski dziwi się, że ten oficer potrafi być spokojnym i rzeczowym dowódcą w tak trudnej sytuacji.

- Wyjście na tory zameldujecie kapitanowi Dąbrowskiemu - powiada major Gawlickiemu na pożegnanie.

Jest zupełnie ciemno, na zachodzie gdzieś dudni. Odzywa się w nich nadzieja, to Orłowo. Kuba zrywa się:

- Pójdę przed koszary, posłucham.

Major zostaje sam. Jeszcze trzeba wydać rozkazy wartowniom, aby penetrowały teren. Zastanawia się więc, jak rozdysponować patrole na noc.

Noc jest ciężka, pod jej osłoną może wszystko się wydarzyć. Pamięta wciąż po kilkakroć powtarzane słowa Wicka Sobocińskiego: nie dajcie się zaskoczyć. Nie dali się zaskoczyć rano, nie dadzą się podejść i nocą.

- Z "dwójki" kapral Domoń niech weźmie dwóch ludzi i przejdzie wzdłuż muru nad kanałem aż do placówki "Przystań".

Po zameldowaniu się u Kręgielskiego tą samą drogą z powrotem. Goryl z "czwórki" niech idzie wzdłuż toru kolejowego do "piątki" i na jej przedpole w stronę Niemców.

Niech stara się określić, jak teren zajęli, i czy siedzą już w okopach na "Promie" - komenderuje.

Noc naszła na Westerplatte i właśnie wygramolił się okrągłutki księżyc. Jest pełnia, odbija się w lustrze spokojnego morza, na placu apelowym jasno jak w dzień...

Może przynajmniej pojawią się jakieś obłoki, jakieś chmurki, które dadzą odetchnąć obrońcom? Patrole idą wolno, badają każdy krzak po drodze bagnetem.

Od Budera, niesłuchanie aktywnego jeszcze o tej porze, przybiega goniec:

- Panie majorze, plutonowy Buder prosi o hasło i odzew na dzisiejszą noc!

Major jest stropiony przez chwilę. O tym w tej cholernej harataninie i pośród tysiąca spraw zapomniał.

- Powiedźcie Buderowi, że szyny zostaną rozkręcone.

Poszedł już w tej sprawie Gawlicki. Namarszcza się, milczy chwilę i wreszcie recytuje: - A hasło na noc: "karabin", odzew "Kraków". Powtórzyć!

- Hasło "karabin", odzew "Kraków".

- Odmaszerować.

Telefonuje potem kapral Goryl z "piątki", od Petzelta.

Głos ma radosny i podniecony.

- Panie majorze, obserwowałem przedpole. Leży tam pełno nasieczonych Niemców."Prom" urządził prawdziwą masakrę, leży tam może siedemdziesięciu.

- Co oni tak wszyscy zagląдают do tego Petzelta.

Najpierw Magdziarz, teraz ten, Goryl... - zwierza się Dąbrowskiemu, który już wrócił.

- Od Petzelta chodzą do kantyny po zapasy nawet pod artylerią. Już słyszałem o tym. Mają zapasy... - śmieje się Kuba.

- No, dobrze, niech im będzie, niech mają.

Słychać, że daleko trwa bitwa. Może to być Orłowo, może Sopot albo Oliwa. Dochodzi tylko terkot krótkich serii kaemów.

- Nie wygląda na to, aby już nadchodzili... - mówi stropiony Kuba. - Piotrowski twierdzi, że w ogóle możemy się pożegnać z nadzieją na te dywizje. Minęło już dwadzieścia godzin, na klęczkach by doszli, jakby szli.

Major milczy, uparcie milczy. W końcu przypomina sobie:

- Goryl był na patrolu, liczył zabitych Niemców. Na przedpolu "Promu" naliczył coś siedemdziesięciu.

Kuba wpada w entuzjizm.

- Zaraz obdzwonię wartownię. To coś, co podniesie wszystkich na duchu. I trzeba im przypomnieć o granatach.

Niech mają na noc przygotowane na okienkach. Na wypadek gdyby ich podeszli.

Dobry dowódca z tego Kuby - myśli major. Drugie czy trzecie pokolenie oficerskie to jednak coś. Ma to we krwi.

Dziadek Szwedowski wszedł bez meldowania i postawił na stole kanapki z kielbasą i czajnik herbaty. Majorowi chciało się śmiać: słyszał już od Dąbrowskiego, jak dziadek dziś rano nie mógł ubrać spodni.

- To Szwedowski nie wie, że został zmobilizowany? - zapytał major.

- Wie - powiada. A herbatę gotuje na prymusie, bo pan major nie pozwala rozpalić pod kuchnią.

Machnął ręką, może pierwszy raz w życiu machnął ręką na sprawę meldowania. Niech tam... W takich warunkach i taki dziadek.

- Wszyscy dostaną herbatę na wieczór? Na wartowniach też?

- Nno, nie bardzo się da nagotować na prymusie na dwustu chłopów.

I drugi raz spasował. Był już zmęczony i opadały mu powieki.

- Dziękuję, panie Szwedowski - powiedział przyjaźnie.

Dziadek jednak coś robi, okazuje się przydatny, chociaż w cywilu jest murarzem.

Gdy przyszedł Rasiński i dołączył Dąbrowski, major na moment się ożywił. Rasiński trzymał zaszyfowaną depezę z Gdyni.

- Odezwali się. Jest wiadomość.

- Głowę dam, że na jutro zapowiadają desant dla nas! - uśmiechnięty i euforyczny Dąbrowski dalej wierzył święcie w Śmigłorydzowe "nie oddamy ani guzika". Ale i w Sucharskim ożyła nadzieja.

- Dajcie, rozszyfrujemy.

W tym momencie, jakże spóźnionym, Niemcy jeszcze raz ruszyli. Grają karabiny maszynowe u Benka Rygielskiego, słychać wybuchy granatów. Kuba usiłuje dodzwonić się na placówkę "Fort", ale major spokojnie powiada:

- Daj im żyć, wszyscy są zajęci teraz walką.

- Widzisz, kazałem przygotować granaty ręczne, słyszałeś, że się przydały?! - chwalił się Dąbrowski swoją przezornością.

Gdy cichnie, major telefonuje do Benka.

- Jak tam, Benek? Czy macie straty? Nikt nie zginął - major wyraźnie odsapnął po odpowiedzi. Na "Forcie" żadnych strat nie było.

- A teraz depesza, zupełnie zapomnieliśmy o depeszy!

Kuba w radosnej gorączce już widzi oczyma duszy, jak z morza podpływają do plaży okręty i w umówionym miejscu wysadzają desant. Roztkliwia się nawet:

- Pewnie nocą nam podeślą desant, nocą najbezpieczniej...

Major nie mówi nic, Czekaj, aż odcyfrują depeszę do końca, choć już w trakcie wydłużają im się miny. Jest to opis obrony Gdyni, dane o walkach granicznych, straty, ilość jeńców niemieckich. Koniec.

- Nadajcie im, Rasiński, nasz meldunek. Kuba, zredaguj, sytuacja ogólna, straty, i koniec.

- Może zapytanie o pomoc?

- Nie. Jakby mogli, to by pomoc przysłali. Widocznie sami są w kiepskiej sytuacji. Tak więc o pomocy nic nie wspominaj.

Widzi, że Dąbrowski z takiego obrotu sprawy jest wyraźnie niezadowolony. Nawet jakby po tej depeszy humor mu się popsuł, słowem opuścił nos na kwintę. Pierwszy raz. No tak - myśli major - spodziewał się nazbyt wiele po Gdyni.

Musiało przyjść rozczarowanie.

Major wsparty na łokciach drzemie przy biurku. Nie ma już sił. Noc poprzednia zarwana, spał może godzinę, teraz cały czas w ruchu. Chwila ciszy nalewa ołowiem całe ciało, powieki same opadają na oczy.

- Henryku, idź spać na górę - proponuje Dąbrowski niespodziewanie. Ja zostanę na punkcie dowodzenia.

Major zastanawia się chwilę. Przyjmuje tę propozycję.

Uważa, że jest szlachetna i koleżeńska, a poza tym sam jest już okropnie zmęczony, jakby wojna trwała co najmniej miesiąc. A to dopiero kończy się jej dzień pierwszy.

Sobota, 2 września 1939.

NALOT BOMBOWY, SPALENIE SZYFRÓW

1

Świeczka na stole. Reklamowa popielniczka wytwórni wódek Baczewskiego pełna niedopałków. Wywietrzyć się nie da: okno zastawione workami piasku. Przez szparę bezczelnie zagląda pyzaty księżyc. Pełnia, niebo bezchmurne. Na zewnątrz jest jaśniej niż tu, w pokoju dowodzenia.

W dzienniku bojowym Dąbrowski stawia na nowej stronie datę: 2 września 1939. Pismo ma ładne, prawie kaligraficzne.

Ale do północy jeszcze godzina. Więc trwają już cały dzień.

Na godziny nie będzie tego przeliczał. Niemcy doznali konfuzji. Myśleli z początku, że odbędą spacer po Westerplatte. Nie udało się. I jeżeli ich wszystkie ataki zostały odparte, będą szukali innego sposobu. Może przez kanał urządzią desant łodziami? Trzeba uczulić placówki nad brzegiem, żeby przypadkiem nie traciły z oczu wody. Rano będzie na pewno mgła - we mgle też mogą podплыć łodzie.

Mimo, że odczuwa zmęczenie, ta myśl dodaje mu sił do działania. A więc "dwójka" i placówka "Przystań". Mały ma głos cienki i powolny, ale czuć w nim gorliwość i przejęcie.

- Będę uważał, możesz być pewny, kapitanie - w tym zmęczonym głosie brzmi nawet optymizm. - W razie czego podziurawimy ich na durszlak.

- Pamiętaj, Zdzichu, musisz zapewnić nam spokój od swojej strony. Oni będą chcieli popróbować teraz desantu przez kanał, skoro łodem im nie wyszło. Rozumiesz?

Może teraz już uważać się za proroka; niewiele upłynęło czasu, a przemówiły u Kręgielskiego cekaem i erkaem pospołu.

Telefon, Mały jest rozgorączkowany.

- Dwie szalupy wiosłowe z żołnierzami. Wyszły od basenu wolnoćlowego. Stradomski ich kończy, słyszysz?

- Tak, słyszę.

- Powiedz, skąd ty o tym wiedziałeś? Powiedz mi, Kuba! - denerwuje się Mały.

- Po prostu dowódca musi pewne rzeczy przewidywać, inaczej powinien kaczkom tyłki płukać - obraca wszystko w żart.

Po chwili znów telefon. I kanonada, grzmoty solidne.

- Sierżant Gawlicki. Melduję wykonanie zadania. Tor rozkręciliśmy.

- Jak poszło?

- Z początku chcieliśmy to zrobić na leżąco. Musieliśmy wstać, bo tak klucza nie można było przekreślić. Księżyc świecił, nie to, co teraz.

- A co teraz? - Dąbrowski spogląda przez szparę, gdzie przed chwilą zaglądał miesiąc.

- Nie słyszy pan kapitan? Jest burza i leje.

- Skąd dzwonicie?

- Od Petzelta. On jest zadowolony i bardzo nam dziękuje, żeśmy ten tor rozkręcili.

Dąbrowski coś jakby poczuł.

- No, no tylko nie przyjmujcie nadmiernych podziękowań, żebyście wrócili przed świtem na swoje pozycje! Ja wam dziękuję dopiero wtedy, gdy pociąg pancerny wykolei się we właściwym miejscu.

- Tak jest, panie kapitanie.

Wyszedł przed koszary. Lał krótki gwałtowny deszcz, nawet grzmiało, na wschodzie jakby przetaczała się wielka burza. Nie mógł sobie uświadomić, że wczoraj o tej porze nie było wojny. Potem długo jeszcze siedział przy stole i rozważał możliwości otrzymania pomocy. A więc te kanonady koło Orłowa dla nich nic nie znaczą, depesza z Gdyni rozwiązała wszelkie nadzieje. Desantu pewnie nie będzie. Ale cóż oni mogą tam wiedzieć o postępach korpusu generała Skwarczyńskiego?! Gdyby było słyhać strzały od południa, gdyby artyleria zaczęła bić trochę bardziej na lewo od Gdyni... Może korpus bije się aż na samej granicy Wolnego Miasta, gdzieś koło Tczewa, i tutaj nie dochodzi głos armat, może jutro rano przełamią niemiecką obronę...

Drzemał przy telefonie do świtu, położywszy głowę na splecionych rękach.

Ledwie się rozwidniło jako tako, Niemcy zaczęli strzelać, jeszcze wcześniej niż wczoraj. Było w pół do piątej. Zatrzęsły się całe koszary - artyleria biła wokół budynku. Odezwały się naprawione przez "drucików" telefony, Buder meldował już bezpośrednio, że "jedyńka" jest pod ostrzałem. Gdy meldował to samo Grudziński z "dwójki", kanonada już jakby ustawała; padły jeszcze dwa, trzy wystrzały. Ale blisko, tuż-tuż, aż od podmuchu spadły z okna worki z piaskiem. I zapanowała cisza.

Właśnie z psami schodził z góry major.

- Co, spać znowu nie dają, dranie - ironizował Kuba.

Wcześniej zaczęli dzisiaj. Musieli dostać dobre opeer z dowództwa, że nie zajęli jeszcze Westerplatte... Podnieść trzeba worki, bo spadły.

Ale właśnie zaczęły gdakać karabiny maszynowe. Najpierw „jedyńka”, potem „piątka” i „dwójka”, wreszcie odezwał się Rygielski z „Fortu”. A więc już atakują, całą szerokością.

Przez wybite i nie przysłonięte balastem okno wlewał się niemrawy świt. Pod lasem rozciągnęły się mgły, jakby ktoś rozwłóczył pajęczyny nad ziemią. Od morza wiało porannym wilgotnym chłodem.

- Chyba trzeba będzie narzucić płaszcz? Chłodno coś.

- Niech Szewczuk przyśle ludzi do założenia worków na parapety. Wyglądasz, Kuba, jak z krzyża zdjęty... Może poszedłbyś się położyć?

- Nie, chcę jeszcze poczekać.

Nie wiadomo skąd przyplątała mu się myśl, natrętne przekonanie, że odsiecz nadejdzie dziś rano. I że on tego momentu nie może przegapić, przespać, prześlepić. On pierwszy powinien zauważyć i pokazać im wszystkim: widzicie, odsiecz nadeszła! Gdy po natarciu porannym, które załamało się jak zawsze na przedpolu wartowni, zrobiła się cisza, wypełniło ją niewyraźne dudnienie dział idące gdzieś z daleka.

- Wyjdę na papierosa i pogonię kota tym od Szewczuka - powiedział majorowi, który usadowił się w krześle, okręcony szczelnie płaszczem.

Stał chwilę przed budynkiem, było już zupełnie jasno i słońce gramoliło się zza fortu w Wisłoujściu, zza sylwety „Schleswiga”.

Działa na zachodzie grały całkiem wyraźnie. Dochodziły nawet jakieś odgłosy, jakby trwała walka i wznoszono okrzyki „hurra”! dla dodania animuszu.

Atakują nasi? Pewnie atakują! Postanowił jednak doczekać aż odgłosy staną się wyrazistsze i bardziej pewne. Wtedy dopiero im powie, że Skwarczyński już nadchodzi!

Gdy wrócił, Sucharski rozmawiał z Buderem, który ma moralnego kaca, że odebrali mu dowództwo wartowni, i przeżywa to, wykazując ciągle nadmierną aktywność. Major właśnie mówi do telefonu:

- Panie Buder, na miłość boską, panie Buder, niech pan tylko nie prowadzi walki zaczepnej!

Ten Piotruś rzeczywiście strzela czy trzeba, czy nie trzeba. Widocznie ogniem cekaemów dodaje sobie animuszu. Ale jest tam przecież także Gryczman, niech go hamuje...

- Przyślę wam suchary i boczek. I papierosy - powiada Sucharski. Obserwować przedpole, stosownie do tego strzelać.

Oszczędnie!

Około godziny dziesiątej artyleria znowu zaczęła swoją melodię, najpierw na głuchych niskich tonach baterii z Brzeźna, potem na wyższych, z szybkostrzelnych działek

„Schleswiga”. Nie był to już jednak taki koncert jak wczoraj. Pojawiały się dłuższe przerwy, zdarzały się pojedyncze wystrzały, jak kasznięcie olbrzyma, można było w tym

wyczuć chaos, jakby dowódca wyszedł na papierosa albo też strzelano po to, żeby przeciwnicy czuli, że są na celowniku przez cały czas.

„Nie był to ostrzał ostry, ale nękający” - jak powiadał Sucharski. I powtórka scenariusza: kończy się kanonada, zaczyna natarcie. Wtedy wszystkie wartownie się odzywają i to tak gwałtownie, że Buder melduje już po chwili:

- Panie kapitanie, Niemcy wycofali się aż za mur!

W tej ciszy, która nastąpiła potem, znów wyławiali dalekie odgłosy dział spod Gdyni i znów budziły one w na wpół śpiącym Kubie nadzieję. Ma to może jakiś związek? Gdy tamci strzelają, to Niemcy nie mogą strzelać do nas? Czy oni spod Gdyni nas odciążają swoją kanonadą?! Może wiąże jednak jakieś siły przeciwnika i uniemożliwiają Niemcom silniejsze natarcie na Westerplatte? - rozumował.

2

Tak już przywykli do nieustannego ostrzału, że dłuższa cisza była dla nich czymś niezwykłym. Armaty umilkły około południa i Dąbrowski zdecydował, że się teraz chwilę prześpi. Wyciągnął się na łóżku w pokoju dowodzenia w mundurze i buciorach, gdy major obliczał godziny ich trwania.

- Popatrz, już się trzymamy przez trzydzieści dwie godziny. O dwadzieścia więcej, niż mieliśmy rozkazane...

I wtedy właśnie pojawił się nad Westerplatte samolot.

Kuba stuknął obcasami o podłogę wstając gwałtownie z łóżka.

- Może nasz - powiedział wychylając się z okna.

Niestety, nie było go stąd widać.

Zadzwoił telefon i odebrał go Sucharski.

- Hydroplan? - zdziwił się. - Czego on tutaj szuka?!

- Wypatruje, czy mamy ochotę się już poddać - zażartował Dąbrowski.

- No, na pewno czegoś wypatruje...

Grodecki wszedł i stanął nie przymykając drzwi.

- Żeby było go czym zestrzelić, cholera! - wołał głośno, jakby już całkiem ogłuchł od strzelaniny. Opuchnięte z niewyspania powieki sprawiały, że wyglądał jeszcze żałośniej, a jego twarz przybrała wyraz nieustępliwego niezadowolenia ze świata. - Łuczyński wystawił trójnog, ale z naszych cekaemów go nie ściągniemy...

- Widziałeś go? To hydroplan? - pytał Kuba.

- Jaki tam hydroplan. Zwykły myśliwiec, ma tylko przy podwoziu takie duże pletwy.

Samolot odleciał, Sucharski z Grodeckim poszli do radiostacji po najświeższe wiadomości, cisza aż świdrowała w uszach. Kuba znów usiłował się zdrzemnąć, ale wydało mu się raz jeszcze, że słyszy skądś wystrzały i nawet jakieś okrzyki. "Hurra"! "Naprzód"! czy coś podobnego. Tym razem nie był zupełnie pewien i nawet dopuszczał możliwość, że są to omamy słuchowe. Po głowie tłukło mu się jedno nazwisko:

Skwarczyński, Skwarczyński... Na pewno idzie, na pewno już gdzieś związany jest walką z nieprzyjacielem!

Sucharski wrócił po niedługiej chwili z radiostacji, twarz miał jakby wypogodzoną, albo też tylko usiłował jakimś grymasem odpędzić wyraz niezadowolenia. Za nim Grodecki, wołający od drzwi z entuzjazmem:

- Wyobraź sobie! Naczelnny Wódz pozdrawia przez radio załogę Westerplatte.
- Ho, ho - powiedział Kuba, a major znów się zmarszczył.
- Mało tego, dali komunikat, że Westerplatte broni się jeszcze. Pamiętają o nas, słyszysz, Kuba!!!
- A co poza tym?
- Zniszczono trzydzieści czołgów nieprzyjacielskich i zestrzelono dwadzieścia siedem samolotów...

- Myślę, że trzeba by dać znać wartowniom, to podniesie nastrój bojowy - Dąbrowski ożywił się. - Uważam, że nawet koniecznie. Niech wiedzą, że tam w Warszawie nie zapomnieli o nas...

Przez dłuższy czas, na zmianę z Grodeckim, łączą się teraz z placówkami i wartowniami, aby przekazać żołnierzom pozdrowienia Naczelnego Wodza. Mówią też o zestrzelonych samolotach i zniszczonych czołgach. Gdy jednak Kuba poinformował Rygielskiego, że zestrzelono trzydzieści czołgów i dwadzieścia siedem niemieckich hydroplanów, major uśmiechnął się.

- Kuba, idź raczej się prześpij porządnie. Te dwie doby na nogach to za dużo. W piwnicy jest cicho i są sienniki.

Skorzystał z tej oferty z wyraźną skwapliwością. Wybrał magazyn pełen zapalników i amunicji, w którym nie było okien, a przez to znacznie ciszej. Przyciągnął sobie tam siennik i usnął snem kamiennym. Przed zaśnięciem zastanawiał się z pewnym niepokojem, co może oznaczać ta długa cisza.

Może nasi idą? - pomyślał i zaraz tę myśl odegnął jako nazbyt optymistyczną.

Obudził go dziwny narastający szum w wentylatorze.

Włączyli jakiś silnik? Gdzieś tu mają piłę tartaczną i przecinają drewno?

Wtedy rozległy się potężne wybuchy. Jeden, dwa, trzy...

Cholera, ileż ich? I ten wwiercający się w uszy warkotliwy zaśpiew, który poprzedza każdy wybuch.

Zrywa się z siennika, otwiera drzwi. Korytarz, nie korytarz... Za drzwiami pełno kurzu, pyłu, prawie mgła, koszary się kołyszą potężnie i obejmuje je ogłuszająca, zatykająca bębenki w uszach detonacja.

Już wie, to bombardowanie. Ten świst - to świst bomb, warczenie to silniki. Lecą bomby na Westerplatte.

Wbiegł po schodach na parter, ufny w moc stropów żelbetonowych, których parametry niedawno studiował. Ale w pokoju dowodzenia nie zastał nikogo.

Bomby z okrutnym, wwiercającym się w uszy, w mózg świstem padały gdzieś w okolicy wartowni piątej. Zbiegł w dół, w samą porę, bo całymi koszarami zatrzęsło właśnie jak okrętem przy zderzeniu z górą lodową. Z sufitu posypał się tynk na głowę, rzuciło nim o ścianę. Podpierając się rękoma o jej gładziczną usiłował posuwać się w stronę jadalni.

Ściana zatrzęsała się jednak tak, że upadł, w pierwszej chwili wydawało się, że ta ściana gdzieś mu uciekła.

Zupełnie ogłuszony gramolił się najpierw na klęczki, potem... Nim jednak wstał, usłyszał głośnie śmiechy zza drzwi

„szóstki”. Otworzył je w zdenerwowaniu gwałtownie, już stojąc, i warknął groźnie:

- Plutonowy Łuczyński, co tu się, do cholery, dzieje?!

Śmiechy nagle ucichły, plutonowy wstał niezgrabnie z siennika. Jego żołnierze leżeli nadal pod oknami.

- Melduję, panie kapitanie, że opowiadają dowcipy i śmieją się.

- Teraz, dowcipy?!

- Że nasz półwysep oderwał się już od lądu i wypłynęliśmy na pełne morze na duży sztorm. ”Schleswig” wkrótce ruszy na Bałtyk, żeby nas poszukiwać...

Kapitan pokiwał głową.

- Dobrze, że się śmieją, a nie płaczą.

Znów rzuciło nimi tak, że stojący przed nim Łuczyński padł na wznak, a Kuba na niego. Dotychczasowe ostrzeliwanie przez ”Schleswiga” w porównaniu z tym, co dzieje się teraz, to była zabawa, głos dziecinnych grzechotek. Teraz wałą się jakieś mury, sypie się gruz, trzeszczą stropy, dźwięczą odłamki szkła i bardzo dużo wszystkiego spada na ziemię. Nie słyszy kompletnie nic, w kabinie podniósł się pył, koszary dostały znowu. Drugi raz.

Powoli wstają z podłogi. Dąbrowski jest poobijany, łyka ślinę, nie słyszy nic. Zachowuje się jak bezbożnik w czasie burzy, nie modli się, tylko wierzy, że każda burza ma swój koniec. Im też bomby się skończą. Co w koszarach, w którym miejscu zostały trafione? Jeszcze nie opadł pył, gdy kieruje się do jadalni nagle przystaje, nieomal zderza się ze stojącym w drzwiach Pajakiem. Porucznik ma obłęd w oczach, idzie z bandażem rozwiniętym, który przydeptuje butami.

Krwawi z częściowo obnażonej rany, ale przebiega ku drzwiom jak lunatyk. Wreszcie przewraca się.

Kuba uskoczył, bo pod nogami nagle poruszyły się sienniki, zachrząściła słoma, a spod nich wyleźli żołnierze.

- Grabowski, to ty?! - woła zdziwiony kapitan. Sprytny artylerzysta kazał swoim powchodzić pod sienniki, aby uniknęli skaleczeń od odłamków. No, Grabowski to facet z głową. A teraz pędzi już z drugim artylerzystą, podnoszą porucznika Pajaka i mocują się z nim, bo Leon nie chce wracać do łóżka. Ujmują go pod ramiona i jakoś idą z powrotem.

W głębi jadalni, przemienionej na szpital i pełniącej też funkcję sypialni, szatni, składu mebli, pokoju wypoczynkowego dla kontuzjowanych, unosi się kurz i pył.

Majaczy przez tę mgłę postać doktora Słabego.

- Jezus Maria, co ten człowiek najlepszego zrobił - już zobaczył Pajaka we krwi, z odwijającymi się bandażami. I wtedy obaliło ich znów na podłogę, silny podmuch rozrzucił stertę krzesel pod oknem, kurz wzbił się tak, że widzialność ograniczyła się do dwóch metrów, może nawet mniej.

- Ułóżcie go, ułóżcie! - woła Słaby, przekrzykując wybuchy, woła do artylerzystów, którzy nie mogą sobie jakoś dać rady. W kącie sali, gdzie leżą mniej ranni, warczy coś, jakby wielki młynek do kawy. Kuba wyęcza słuch. Ranni odmawiają zdrowaśki, jedna za drugą. Efekty akustyczne są coraz potężniejsze, podmuchy straszliwe, mury się kolebią jak papierowa łódka na fali.

- Nie widziałeś majora? - przekrzykuje Kuba zdrowaśki pacjentów.

- Nie było go! - odwrzaskuje Słaby, już teraz nad łóżkiem uspokojonego Pajaka.

Znów bliski wybuch, podmuch powietrza rzuca Dąbrowskiego pod jakieś łóżko z rannym i znowu ogarnia go wściekłość.

Rozgląda się wstając, ale nikt nie spostrzegł jego upadku.

Wszyscy leżą na posadzce. Chwyta się poręczy łóżka, wstaje, pochyla się nad rannym.

- Mietek, czy ten człowiek... Czy on? To chyba Ziemba!

Pierwszy raz widzi tak blisko martwego żołnierza.

Kredowobiała twarz, bandaż na czole i skroni, krew kapiąc jeszcze teraz powiększa pod łóżkiem kałużę. Kuba oparł się o nią ręką. Teraz ociera się chusteczką. Zsunięte prześcieradło ukazuje nagi bok, rozdarty zupełnie przez odłamek pocisku. Cały bok, przez który widać żebra, płuca i jeszcze ciekącą krew. Kubie kręci się w głowie, jest bliski omdlenia, ale nie może tego okazać. Patrzą żołnierze. Bomby biją jeszcze, tylko gdzieś dalej. Głuche dudnienie wybuchów i jak odpustowa terkotka głośniejący pacierz rannych. Smród, kurz i mdłości. Krew, ropa, śmierć. Słaby teraz jest przy nim. Mówi mu prosto do ucha:

- Zmarł zaraz na początku nalotu. Odłamek. Podmuchał zerwał z niego prześcieradło; to ja nakryłem go prześcieradłem i odsunąłem łóżko. Naprawdę!

Jest chwila ciszy i nie ryzykując utraty pozycji wertykalnej Dąbrowski idzie w stronę radiostacji. Uchyła drzwi i zaraz chce je zamknąć. Widzi bowiem, że w cizbie żołnierzy, poutykanych jak sardynki w pudełku, siedzi major, obok niego przytulony niemal Rasiński.

- A, Kuba - powiada tylko tyle Sucharski.

- Zdaje się, że rąbnęło w nas? W koszary? - pyta Rasiński.

- Zdaje się, że nawet nie raz.

Kuba starannie zamyka drzwi i postanawia poszukać czystego powietrza. Schody są zarzucone odłamkami betonu, cegieł, szkła, trudno po tym wszystkim brnąć pod górę.

Słaby znów jest koło niego.

- Daj zapalić - powiada.

- Możesz palić w tym kurzu i smrodzie? - dziwi się i podsuwa mu papierośnicę. I postanawia go zapytać, bowiem te śmiechy podczas bombardowania na "szóstce" nie dawały mu spokoju. Jak to jest?

- To rodzaj silnej reakcji emocjonalnej na pewne bodźce, ale reakcji odwrotnej. Gdzieś to czytałem. Ludzie wtedy śmieją się zamiast płakać.

- Panie doktorze, porucznik Pająk rzyga - przybiega sanitariusz.

Słaby rzuca papierosa, przydeptuje, biegnie.

Jeszcze raz słyhać narastający gwizd i warkot. Znów nadlatują, który to już raz? Stracili rachubę. Zdaje się, że trwa to już całymi godzinami. Gdzie rozlegnie się łoskot wybuchów? Już są. Buuuuch - uuuuuuuuuu, bum, buuuuuch.

Gdzieś jakby na placu ćwiczeń. Potem jeszcze kilka stęknień i westchnień olbrzyma, jakby na terenie Mikołajewa. Echo słabsze, fala powietrzna wyczuwalnie uderza o koszary, szyby nie dzwonią, bo ich nie ma.

Cicho, teraz jest już zdumiewająco cicho. Skurcz gardła ustępuje, krew zaczyna krążyć w żyłach szybciej. Przez wywalone na przestrzał okna jadalni wchodzi gryzący w oczy

dym. Dąbrowski patrzy chwilę, jak na zrytym bombami placu apelowym, jak po obu stronach alejki wiodącej ku willi oficerskiej dymią nie wygasłe jeszcze bomby zapalające.

Buzują fioleto-woniebieskawym płomieniem, to od nich idzie ten przeklęty smród, który wciska się przez wszystkie wywalone otwory okienne do piwnicy koszar.

3

Koło radiostacji ruch, wyskakują stamtąd chłopcy na korytarz. Słychać krzyki: "Gaz! gaz!" Że też Sucharski ich nie uspokoił. W perspektywie korytarza Kuba widzi, że major przyskoczył ku schodom i poszedł na górę. Ma widocznie kompleks gazu, chyba jeszcze z wojny światowej?! Ypres kołacze mu się po głowie?

- Gaz! Zakładać maski! - ktoś woła na schodach.

- Spokój, do jasnej cholery. Co za idiota wymyślił gaz!

- drze się Dąbrowski na całe koszary, aż dudni. - To tylko dym z bomb zapalających.

Żaden gaz!

W kabinie bojowej panuje już spokój. Żołnierze pozbiali się, otrzepują mundury, wyglądają na świat przez okienka. A świat wygląda baśniowo, wokoło palą się niebieskie ogniki. Dąbrowski teraz już uważnie ogląda przedpole, metodycznie, okiem gospodarskim, bo trzeba zrobić inwentarz. W nosie wierci ten smród chemiczny, z lewej widoczność przesłania jakiegoś wywalone korzeniami do góry wielkie drzewo, na prawo pagór ziemi, wyrzuconej przez wybuch bomby. Za nim jest pewnie lej.

- Wartownie, jak wartownie? - pyta Łuczyńskiego.

- Jak wartownie? Meldujcie kolejno, zaczynać od okienek z lewej - komenderuje Łuczyński.

- "Czwórka" stoi - powiada pierwszy.

- Willę oficerską widzę, ale "piątka" jakby nie...

- Tak, czy jakby?

- Nie widzę. "Jedynka" stoi.

- "Dwójka" stoi.

- Melduję, że z początkiem nalotu telefonowałem do Petzelta. Już wtedy "piątka" się nie zgłaszała - odzywa się Łuczyński.

Dodzwonił się natomiast do "jedynki". Piotruś Buder twierdził, że "piątka" w ogóle nie widzi, tylko dym i kurz.

Podejrzewał, że została trafiona.

Zapada milczenie. Nikt nie chce wymówić tego słowa, że tamci na "piątce" zginęli. Nikt nie ma na to odwagi.

Przerywa tę ciszę Dąbrowski. Każe im być gotowymi do otwarcia ognia w każdej chwili.

- Czujność na wszystkich kierunkach! Niemcy pójną zaraz do ataku.

Wydaje mu się, że tak powinno być, że zgodnie z zasadami sztuki wojennej Niemcy zechcą wykorzystać moment. Chwilę dezorganizacji i niepewności, zdenerwowania, dezorientacji - to wszystko przecież wywołał u obrońców nalot. Tymczasem natarcie nie wychodzi, zastanawiające, na co Niemcy jeszcze czekają?!

Dąbrowski nadśluchuje i wydaje mu się, że słyszy jeszcze jakieś odległe wycie. Ale nie, odlecieli. Chyba już dziś nie wrócą, koniec bombardowania. Ile ton trotylu i dynamitu wywalili na ich mały półwysep? Ktoś od Łuczyńskiego twierdzi, że atakowało ich aż czterdzieści siedem samolotów, że liczył. Jak liczył?

Kuba wychodzi na parter, przebiega przez hall w stronę centrali telefonicznej i nagle widzi, że jest tu podejrzenie jasno. Pod nogami ma betonowe kawały gruzu. Pył wszędzie.

Patrzy w górę: czysty jasny błękit nieba, na nim biały obłok. Strop jest przebity na wylot, nad głową zwisa mu kawał betonu na wygiętych drutach zbrojeniowych i splot instalacji, wyrwanych z sufitu. Falbana postrzępionych trzciny kołysze się na lekkim wietrze. Jest przeciąg, bramę wejściową do koszar wyrwało z futryną.

- Treła, dzwońcie po wartowniach! - woła od drzwi do telefonisty.

- Mogę, ale już próbowałem. Milczą.

- Próbuje jeszcze raz!

Treła wychyla się na zewnątrz przez wyrwane okno - i woła:

- Panie kapitanie, panie kapitanie!

Kuba podchodzi do okna, wychyla się przyciśnięty do małego Treli.

- Panie kapitanie, walnęło w główne łącze przy koszarach. Tuż przy ścianie... Byłby to cud, gdyby się odezwali.

Ktoś szybko pędzi z suterenu po schodach. Żołnierz

„szóstki” od Łuczyńskiego:

- Panie kapitanie! Czołgi!

- Widzieliście? - pyta trzeźwo Dąbrowski.

- Słysząc. Wyraźnie je słysząc.

- Niech Piotrowski wyda amunicję przeciwpancerną.

Obsadzić okna w jadalni, rannych przenieść w osłonięte miejsca - recytuje Dąbrowski. Grodecki kiwa potakująco głową.

- Chorąży Pełka, dopilnujcie wykonania!

Podchodzą do wielkiego otworu, który ziejże w miejscu wywalonej bramy. Kuba, Pełka, kilku żołnierzy.

Tu słysząc już wyraźnie ów przejmujący dźwięk, którego pochodzenia nie sposób sobie wytłumaczyć. Warczą maszyny ani chybi - myśli Dąbrowski. Hm, będzie ciężka przeprawa. Warkot ten przechodzi w wycie, potem znów w rżenie. Czołgi? Trzeba być przygotowanym.

Piotrowski wydaje taśmy z amunicją pancerną. Przy oknach jadalni lokują się strzelcy z karabinami maszynowymi. Teraz oni będą jak jeź, samotne koszary, kłujące z każdej strony, skoro pierścienia wartowni już brakło, skoro zamilkły wszystkie placówki.

- Jazy i Szwedowski - woła Dąbrowski - obsadzić bramę wejściową do koszar!

Chce iść do pokoju dowodzenia, robi kilka kroków na ukos przez hall, gdy kątem oka dostrzega majora, stojącego razem z Grodeckim obok kępy gruzów, pod niebieską wyrwą w stropie.

Stefan jest w swoim lotniczym mundurze, na którym nie ma grama kurzu. Gdzież on się chował podczas nalotu?! Major jakiś zafrasowany, Kuba z ociąganiem podchodzi do nich.

Ciągle ma niejasne poczucie, że tym, kto krzyczał w piwnicy

„gaz”, „gaz”, był właśnie sam major. Skoro wówczas zawołał:

„Co za idiota krzyczy” - to ładnie teraz wygląda. Ale trudno, mógł Sucharski nie wykrzykiwać nonsensów.

- Panowie - powiada do Kuby i Grodeckiego major - musimy się poważnie zastanowić. Wytrwaliśmy już i tak dwa dni, rozkaz przewidywał tylko dwanaście godzin. Wykonaliśmy więc rozkaz.

Do czego on zmierza? Czy to w ogóle możliwe - namarszcza się Kuba, a Grodecki zaciska zęby.

- Musimy się zastanowić - mówi - musimy się zastanowić, czy dalszy opór ma sens. „Piątka” trafiona bombą, inne wartownie milczą...

- Inne stoją, sprawdzałem to osobiście! - Dąbrowski jest wyraźnie zdenerwowany.

- Stoją, ale nie dają znaku życia. Koszary zrujnowane.

Straciliśmy zdolność obronną... - powiada major tonem zgorzkniałym i pełnym rezygnacji. Ale Kubę ten ton i te propozycje doprowadzają do szału.

- Nie uważam, żeby koszary straciły wiele ze swej zdolności obronnej. Żelbet nad piwnicą nietknięty. Możemy się bronić nawet tutaj.

- Kuba ma rację, panie majorze! Jesteśmy w stanie nawet tutaj stawić opór - Grodecki mówi z emfazą, podnosi trochę teatralnie ręce.

- Nie wiemy, co będzie. Idą czołgi. Kazałem Rasińskiemu spalić szyfr do radiostacji. Zdunkiewicz przygotowuje do zniszczenia tajne akta. Nie mogą się dostać w ręce wroga...

- Pan major myśli o kapitulacji? - wrywa się Grodeckiemu. Major milczy. Dąbrowski czerwienieje na twarzy.

- Nigdy. To niemożliwe. Kapitulacja to hańba! - krzyczy prosto w twarz Sucharskiego i odwraca się napięcie.

Podchodzi do otworu bramy, w którym już kilku ludzi ustawia pionowo futrynę. Co to, nie słycać już tego warkotliwego, buczonego dźwięku? Czołgi stanęły?

Prosto na niego wpada Gawlicki z placówki "Elektrownia".

- Życie? Więc życie! Myśleliśmy, że już po was! - bezceremonialnie bierze Kubę w ramiona i ściska z radości jak odnalezionego brata. - Od nas widać było nad koszarami chmurę dymu, ogień i pył.

- I wy też życie? To dobrze - cieszy się Kuba. - Nie wiesz, jak na wartowniach?

- Wstąpiłem na "trójkę", tam wszyscy martwią się o was.

Zdrowi.

Potem opowiada, że po drodze wstąpił także do garażu.

Słyszał bowiem, że wydobywa się stamtąd buczonego dźwięk.

Klakson fiata darł się na cały regulator, w pierwszej chwili nie wiedział dlaczego. Podniósł maskę, pogrzebał...

- Jakiś odłamek go włączył. Wyjąłem i jest cisza.

Nie bardzo rozumie, że wszyscy wokoło stają się nagle pogodni i weseli, a Dąbrowski bierze się pod bokii śmieje jak szalony.

- Myśmy już tu rozdali amunicję przeciwpancerną.

Wszyscy myśleli, że idą na nas czołgi! - wyjaśnia.

Gawlicki też się śmieje.

- Obsadzisz okno tuż przy bramie erkaemem. Atak może ruszyć lada chwila... - kończy Dąbrowski. - Amunicji pepanc nie musisz już odbierać, weź zwykłą.

Przybiega z pola plutonowy Bieniasz machając rękoma.

- Nie ma, ani jednego móździerza nie ma! Wszystko rozbite.

- Obsadźcie, Bieniasz, jakieś wolne okno w jadalni! - Kuba jakby nie słyszał tej smutnej wieści o moździerzach.

- Tak jest.

W otworze drzwi teraz pojawia się widmo żołnierza.

Prawdziwe widmo. Idzie powoli, lekko się zatacza, pokryty jest cały pyłem, włosy zmierzwiłone, dłoń we krwi.

Magdziarz, to Magdziarz, był ostatnio na "piątce" - poznaje go Kuba, który zna niemal wszystkich po nazwisku.

Iskierka nadziei zapala się w sercu. Może onitam żyją?

Magdziarz nie przyjmuje póź wiarusa z "Warszawianki", podchodzi i spokojnie informuje:

- "Piątka" trafiona bombą, wszyscy przysypani.

- Żyją?

- Nie wiem, nic nie wiem, palce mi urwało - wymachuje skrwawioną nie owiniętą dłonią.

- Buder prosi o stolarza, żeby mu drzwi naprawić - wypala nagle.

- Jaki Buder? Może Petzelt?

- Byłem na "jedynce".

- Nie na "piątce"?

Popatrują po sobie porozumiewawczo. Może jednak z tym Magdziarzem nie wszystko w porządku?! Ale Magdziarz całkiem przytomnie odpowiada, wyjaśnia. Poszedł na "piątkę", po trafieniu "piątki" udał się do "jedynki". Cudem ocalał, gdy trafiła bomba. Rzuciło nim o ziemię, padł kilka metrów od „piątki” i... Pozbierał się potem i poszedł do "jedynki".

- Posłał mnie tu Buder - powiada.

- Na "jedynce" wszyscy zdrowi, cali? - zapytuje go chorąży Pełka.

- A jak ma być? - dziwi się Magdziarz. - Przecież bomba poszła w "piątkę"! - tłumaczy logicznie. Ale Dąbrowskiemu to cudowne ocalenie Magdziarza jakoś wydaje się podejrzane.

- To gdzieście zostali ranni w rękę, Magdziarz?

- Mówiłem, na "piątce"!

- A jak ocaleliście?

- Jadłem klopsy z kaszą, jak toto walnęło. Klopsy z kaszą. I wyrzuciło mnie.

- Chorąży Pełka! Wołajcie Grabowskiego i jego bombardierów. Niech idą sprawdzić, co jest na "piątce". Może tam żyją, może tylko zasypani... Trzeba, żeby wzięli sprzęt do

kopania... - mówi Dąbrowski. A Magdziarza odprowadźcie do doktora Słabego - decyduje z rezygnacją.

4

Major, który wcześniej gdzieś zniknął, teraz znosi sterty papierów, pomaga mu Zdunkiewicz albo na odwrót: to major pomaga szefowi kancelarii. Jakby to teraz było najważniejsze - denerwuje się Kuba.

- Tajne papiery spalimy zaraz. Na wszelki wypadek - zagaduje ugodowo do Dąbrowskiego.

Na schodach Kuba mija się z Grabowskim i jego ludźmi.

- Rażno, chłopcy, może jeszcze uda się kogoś uratować!

Po nalocie minęło zaledwie dziesięć, może piętnaście minut.

Dymy się snują wokół koszar. Westerplatte jest jak wielkie pogorzelsko.

- Gońców wysłać do wartowni, do wszystkich! Chorąży Pełka, wykonać!

Sam idzie do Rasińskiego. W radiostacji ludzie siedzą z kwaśnymi minami. Czy radiostacja działa?

- Działa, a te szyfry spalone. Meldunek do Gdyni nadany.

- Jaki meldunek? - pyta kapitan.

- "Zostaniemy zbombardowani, szyfry spalone".

Tak kazał major.

- Kiedy major wydał ten rozkaz?

- Zaraz po nalocie.

Dąbrowski jest przerażony. Bez szyfrów radiostacja stała się nikomu niepotrzebnym gratem. Spuszcza głowę. Więc Sucharski podjął decyzję w szoku tuż po nalocie. Co to za treść: "Zostaliśmy zbombardowani". Powinno być:

„Przetrwaliśmy bombardowanie, załoga koszar w porządku”. A więc gotował się jednak do kapitulacji... Gdyby nie spotkali się w hallu gdyby nie poparł go Grodecki, wykwitłaby już biała flaga nad koszarami.

Po koszarach snuje się dym, w suterynach gryzie w oczy szczególnie. To palą się akta, kuchenny piec jakoś nie może ich strawić. Piotrowski stoi na straży tajemnych papierów, ale piec dymi okrutnie i starszy ogniomistrz zwija się na posterunku.

- Nie wiecie, że kominy są zawalone i nie mają cugu?! - woła kapitan. Pojawia się skądś Gawlicki.

- Gawlicki zróbcie z tym jakiś porządek, bo przytrujecie całą załogę, wykurzycie nas z koszar jak pszczoły z ula!

Wyrzucają więc te akta z pieca na beton podłogi, jest jeszcze gorzej, więcej dymu, Szewczuk woła o zaciemnienie, bo widać ogień na zewnątrz. "Przecież jest jeszcze dzień" - oponuje Piotrowski. "Ale już szarówka" - ripostuje Szewczuk, sapiący król kierowy. Gawlicki drze papiery na kawałki i wrzuca na powrót do ognia, żeby się lepiej paliły. Niech to wszystko szlag trafi, po co ten cyrk! - chce wołać Dąbrowski. - Jeszcze żyjemy, jeszcze się bronimy. Tajne papiery do obrony nie są potrzebne, ale po co było palić szyfr?!

Dlaczego Niemcy nie przypuszczają teraz szturm?

Dlaczego? To wbrew wszelkiej logice. Co oni szykują? Nowy nalot?

Wracają powoli gońcy wysłani do wartowni. Meldują, że wszędzie są w gotowości bojowej. Żadnych strat. Poza „piątką”, świeć Panie nad ich duszą. Miał rację, Westerplatte wcale nie utraciło zdolności obronnej!

Spotykają się nagle w kabinie bojowej koszar, u Łuczyńskiego. Major wydaje właśnie rozkaz: - Wysłać jedną obsługę z cekaemem w rejon wartowni numer pięć. Trzeba wypełnić wyrwę w systemie obronnym, ktoś musi czuwać nad tym odcinkiem, to przecież pierwsza linia; współdziałać z „jedyką” i wzajemnie się uzupełniać. Wyślijcie Barana - decyduje major. - Tam musi iść dobry strzelec.

Kubie przychodzi na myśl, czy aby nie jest to zemsta za tamte przedwojenne sprawy. Przyjazd żony, raport karny... I teraz na otwarte stanowisko ziemne, niczym nie osłonięte, na pierwszą linię. Tak czy owak Kuba widzi, że szok majora mija. I wraca mu woła walki. O kapitulacji więc nie ma mowy, skoro obsadza już teraz wyrwy w obronie!

O reszcie dnia wrócili Grabowski i jego ludzie, pachnący dymem bomb zapalających, które jeszcze dogasały na całym terenie. Z nimi przyszedł Szamlewski, najprzystojniejszy z kaprali, o twarzy poszarzałej, z krwią ciekącą z nosa i uszu.

- Chciał do nas strzelać. Myślał, że my to Niemcy! - tłumaczył Grabowski doktorowi Słabemu, gdy oddawał mu Szamlewskiego na punkcie opatrunkowym.

- A nogi miał przywalone gruzem.

- Jak tam na "piątce"? Więc są żywi? - zawołał z nadzieją w głosie Kuba.

Grabowski tylko machnął ręką. Potem westchnął ciężko.

- Czegoś takiego, panie kapitanie, nie widziałem

- oświadczył, i trzeba było go zmusić do złożenia meldunku.

Wynikało z tego, że dostali się do dolnej komory "piątki" przez okienko strzelnicze, które musieli wpierw odkopać. Z pomocą przyszedli im chłopcy z pobliskiej placówki Dejka.

Pracowali tym szybciej, że ze środka dochodziły wołania o pomoc. Coraz bardziej słabnące. Gdy weszli, w zwaliskach było ciemno od gryzącego w oczy dymu i gorąco jakby od ognia. Gdy oczy ich oswoiły się z tym mrokiem, ujrzeli żołnierza, który miał czaszkę przywaloną betonową płytą stropu. Wisiał jakby w powietrzu i wydał właśnie słaby, ostatni jęk. To on wołał pomocy. Pod przeciwległą ścianą leżał kapral Szamlewski z nogami przywalonymi gruzem i mierzył do nich z karabinu. Gdy odwalili gruz, okazało się, że może chodzić, choć jest okropnie potłuczony. Oswoili się już z mrokiem, mogli opisać zniszczenia: bomba przebiła stropy, wryła się w ziemię i tak wybuchła, wyrzucając wszystko w górę, razem z żelbetonowym stropem komory dolnej.

Spadający strop zmiążdżył wszystko. Bomba rozszarpała ciała załogi, widać było rozrzucone po gruzach spieczone kawałki ludzkiego ciała.

- Tego się nie da opisać, tego się nie da - zawodził po wiejsku Grabowski. - Sześciu zabitych.

- Dziękuję, możecie odmaszerować. Waszą relację przekażę sam majorowi - powiedział Kuba. Bał się, żeby przypadkiem Sucharski nie zechciał podjąć dyskusji na temat sensowności ich dalszego oporu.

Został majora znowu u Rasińskiego.

- Na "piątce" sześciu poległo. Dokopał się do podziemi Grabowski.

- A Józus Kita? - spytał major.

- Józus też - powiedział Kuba.

Major wykonał szerokim gestem znak krzyża.

- Wieczny odpoczynek - powiedział. - Im wszystkim.

Tkwiał chwilę w zamyśleniu, po czym dodał:

- Kuba, to wszystko idzie na moje sumienie. Ja odpowiadam za załogę, za jej życie.

Czy mnie rozumiesz?!

- Henryku, wiesz lepiej ode mnie, że na wojnie giną ludzie - tonem spokojnym odpowiedział Dąbrowski. - Idę wydać zarządzenia, Niemcy jeszcze dziś zaatakują!

Po drodze dużo opowiadał Grodeckiemu na temat niemieckiej sztuki wojennej. Że nie ceni militarystyki niemieckiej, ale doktryna wojenna stała w Berlinie wysoko od czasów Clausewitza. Fakt, że natarcie nie ruszyło zaraz po bombardowaniu, uważa za kardynalny błąd. Mieli szansę, ale ją zaprzepaścili.

Jest już ciemno, gdy odzywają się karabiny maszynowe.

Wartownie dają głos grzechotliwy na znak, że jeszcze trwają, że są, że bomby ich nie zmiotły. Za późno Niemcy ruszyli, o ileż za późno! Zresztą zaraz cofają się. Już drugi raz

chcieli spacerkiem zająć Westerplatte. Spłoszyli tylko "drucików", którzy ciągnęli nowe kable telefonów, bo te kładzione przez Grodeckiego, okryte płaszczem betonowym, poszarpały jednak bomby. Teraz, po odpartym ataku, telefoniści biorą się do dalszej roboty.

Sucharski siedzi ze zwieszoną głową i Kubie wydaje się, że on teraz wstydzi się tej swojej propozycji, którą wyłożył po nalocie. To szok, a nie rozumowana decyzja - tłumaczy sobie Dąbrowski.

Tymczasem major bardzo apatycznie referuje wiadomości radiowe, wysłuchane na dole w kabinie radiostacji. Polskie są ogólnikowe, ale Niemcy precyzują dokładnie, gdzie trwają walki. W rejonie Osowca, Mławy, Grudziądz, Kalisza i Częstochowy, na południowy zachód od Katowic, wreszcie w Karpatach na północ od granicy ze Słowacją. A więc na terenach Polski. Jakże łatwo nieprzyjaciel przekroczył nasze granice, czy to aby możliwe?! - zastanawia się Kuba.

Potem chłodno analizuje sytuację. Załoga nie może się dowiedzieć o niemieckich postępach. Straci bojowego ducha, może ogarnąć ją defetyzm. Wypowiada te opinie głośno do majora, który milcząco potakuje.

- A więc wiadomości radiowe zostają w naszym gronie - podsumowuje, patrząc na twarze Grodeckiego, Rasińskiego, majora. I odtąd z tego grona żadne następne, jeszcze bardziej przygnębiające wieści nie dotrą do załogi.

Jeszcze raz przed nocą odzywają się karabiny. Niemcy nawet z pewnym zacięciem usiłowali zdobyć placówkę "Fort", ale Rygielski obrzucił ich granatami. Atak na "jedynekę" też się im nie powiódł.

W nocy do drzemającego Kuby kilka razy przybiegał dziadek Szwedowski. Pierwszy raz z herbatą, drugi raz i piąty z niezmiennym ostrzeżeniem:

- Idą Belzebuby, panie kapitanie. Idą...

Nie mógł sypiać i był przeczulony. Za to stale czuwał przy prymusie, jedynym źródle gorącej herbaty. Obsługując tę „broń” był pełnowartościowym żołnierzem Westerplatte.